Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna w Rzeszowie

WIDNOKRĄG

UKAZUJE SIĘ Z „NOWINAMI RZESZOWSKIMI" Nr 34 (360) 25 sierpnia 1968 r.

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

NAGRODY WRN - 1968

Kilka dni temu uchwałą Prez. WRN przyznano zespołom i działaczom nagrody Wojewódzkiej Rady Narodowej w Rzeszowie za upowszechnianie kultury. Nagrody te istniejące już od wielu lat w okresie powojennym i przyznawane artystom, uczonym, pisarzom, dziennikarzom i działaczom kulturalnym oraz instytucjom lub placówkom k.o. mają dużą rangę i stanowią wartościowe wyróżnienie dla zasłużonych oraz bodziec dla aktywizacji środowisk twórczych w naszym województwie. Oto lista nagrodzonych w roku 1968:

NAGRODY ZBIOROWE:

Amatorski Zespół Regionalny Pieśni i Tańca w Gaci, pow. Przeworsk, otrzymał nagrodę za całokształt swej działalności w upowszechnianiu kultury ludowej. Zespół obchodzi w roku bieżącym jubileusz 20-lecia pracy artystycznej. Od roku 1948 doszedł do bardzo bogatego i różnorodnego repertuaru, występując m. in. z dawnym weselem regionalnym, melodiami i przyśpiewkami ludowymi, tańcami i melodiami czerpanymi z folkloru przeworskiego. Tylko w ostatnich 2 latach, zespół dał 43 występy artystyczne na terenie województwa rzeszowskiego. Amatorski Zespół Regionalny z Gaci brał także kilkakrotnie udział w programie artystycznym Dożynek Centralnych w Warszawie, dwa razy wystąpił przed mikrofonami Polskiego Radia i trzykrotnie przed kamerami telewizji. O jego poziomie artystycznym świadczy fakt, że został zakwalifikowany przez Państwową Komisję Ministerstwa Kultury i Sztuki do prezentowania swego programu za granicą.

Chór Męski Echo przy ZDK w Jaśle. Powstał w roku 1954 i w ciągu swej działalności położył duże zasługi dla upowszechnienia kultury muzycznej na terenie miasta i powiatu. Szczególnie zasłużył się rozbudzaniem zainteresowań śpiewaczych w środowisku młodzieży robotniczej. Chór znany jest również w wielu regionach województwa rzeszowskiego i kraju. W roku 1960 na Ogólnopolskim Festiwalu Zespołów Śpiewaczych w Poznaniu organizowanym przez CRZZ uzyskał „Złoty laur". W 4 lata później zdobył dyplom uznania i nagrodę Ministra Kultury i Sztuki, ponadto wyróżnienia na Ogólnopolskim Zlocie Chórów w Zakopanem i na przeglądzie chórów w Mielcu. Współpracuje z Towarzystwem Miłośników Muzyki, z Jasielską Orkiestrą Symfoniczną i Chórem Żeńskim przy PDK, biorąc udział w koncertach umuzykalniających w przygotowaniu programów artystycznych na uroczystości państwowe i środowiskowe oraz w zbieraniu i upowszechnianiu pieśni ludowych i regionalnych.

Redakcja Literacka i Muzyczna Rozgłośni Polskiego Radia w Rzeszowie. Zespół tej redakcji podjął i systematycznie kontynuuje kilka cennych inicjatyw pobudzających aktywność środowisk kulturalnych województwa i popularyzujących ich osiągnięcia. Szczególnie dużo uwagi poświęca najmłodszemu w Rzeszowie środowisku literackiemu. Prezentuje dorobek rzeszowskich prozaików i poetów w stałej audycji „Rzeszowska antena literacka", redagowanej co miesiąc przy współpracy przedstawicieli rzeszowskiego oddziału ZLP. Redakcja utrzymuje również żywy kontakt ze środowiskami literackimi pozarzeszowskimi. Od dziesięciu lat prowadzi audycję „Rozmowy z pisarzami", w której prezentuje słuchaczom znanych twórców związanych z regionem. Zespół redakcji systematycznie współpracuje także z innymi środowiskami twórczymi: naukowym (stała audycja „Rzeszowscy naukowcy") i teatralnym. Popularyzuje artystyczny ruch amatorski, ukazując w cyklicznych audycjach wszystkie zespoły artystyczne, zasługujące na uwagę. O poziomie pracy tej redakcji świadczy fakt, iż udział jej audycji w programie ogólnopolskim wzrósł w ciągu ostatnich kilku lat 3-krotnie.

NAGRODY INDYWIDUALNE:

Mgr Stanisław Piziak — dyrektor Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Rzeszowie. Dzięki jego osobistemu zaangażowaniu i niestrudzonej pracy, województwo rzeszowskie osiągnęło wysokie wskaźniki w poziomie czytelnictwa, w rozwoju sieci bibliotecznej i bazy lokalowej oraz w zaopatrzeniu placówek w księgozbiór. Nasze województwo posiada najbardziej rozbudowaną sieć bibliotek w kraju oraz jedno z czołowych miejsc pod względem ilości wypożyczeń i ilości woluminów bibliotecznych przypadających na jednego mieszkańca.

Dużo uwagi poświęca dyr. Stanisław Piziak rozwojowi bibliotecznej bazy lokalowej w Rzeszowie i w województwie. Doprowadził swymi staraniami do zaadaptowania na placówki biblioteczne synagog w Przemyślu i Strzyżowie, do rozpoczęcia prac adaptacyjnych w takich samych obiektach w Ustrzykach Dolnych i w Tarnobrzegu oraz do powstania kilku nowoczesnych filii bibliotecznych w samym Rzeszowie.

Zasługą dyr. Piziaka jest również żywy rozwój w bibliotekach województwa różnorodnych form pracy oświatowej, a zwłaszcza spotkań pisarzy z czytelnikami cyklów odczytowych i konkursów czytelniczych.

Antoni Duda — Dziewierz — dyr. Muzeum Zamku w Łańcucie doprowadził do gruntownego remontu, uporządkowania, otwarcia ekspozycji wnętrz i pełnego udostępnienia muzeum szerokiej rzeszy turystów z całego kraju. Uporządkował park, urządził ogród zimowy i rozpoczął na szeroką skalę szkolenie kadr przewodników.

Z jego inicjatywy Muzeum w Łańcucie stało się obecnie nowoczesną placówką kulturalno-oświatową, stosującą szereg form upowszechnienia kultury. Organizuje się w nim koncerty, seanse filmowe i imprezy teatralne. Dyr. Duda — Dziewierz troszczy się również o zachowanie i udostępnienie dóbr kulturalnych z terenu województwa rzeszowskiego (projekt zorganizowania skansenu sakralnego budownictwa łemkowskiego w Smolniku, remont zabytków architektury w Sieniawie).

Franciszek Frączek — artysta plastyk. Działalność artystyczną rozpoczął w 1930 roku w grupie

(Ciąg dalszy na str. 2)

Franciszek Ceglak

W przypomnieniu

Motto:

„I ścigać okiem światła obrazu i cienie
Jak lśniące rozpryśnionych mozajek kamienie..."

J. Słowacki — „Godzina myśli"

już wypaliły się głownie słów
wprowadź mnie w popiół jak w mroczną ścieżkę

lotnym słonecznikiem „kamieniem szczęśliwym"
spełnia się miasteczko

przywołaj światło... dzień się przerzedził
nad dachem mięta cynober i śmierć

a ty masz czarne długie włosy
z kosmykiem słońca

w przypomnieniu
łagodne szkła nocy —
zielonodzwonny szept

rozklej poświatę przez San lub mostem
w słowach kłujący piach
zejdę o tobie tą pełnią ostu
i pieśnią sosen w rozchyleniu warg

DUŻO WODY Fot. M. KOPEĆ

Ryszard Dzieszyński

LOŻA MASOŃSKA W DUKLI

Na starym szlaku handlowym, prowadzącym na Węgry, po którym szły ongiś do Polski ogromne transporty tokaju, leży Dukla — miasteczko założone w XIII wieku, sławne z wielu wydarzeń historycznych. W 1474 roku złupił je i spalił Maciej Korwin. Miasto odbudowało się i oglądało Jana Kazimierza, który w 1665 roku wracał ze Śląska, aby pokierować walką ze Szwedami. W XVII wieku Dukla przeszła na własność Mniszchów. Tutaj w 1755 roku Jerzy August Mniszech, marszałek nadworny koronny, założył lożę masońską.

Loże masońskie zaczęły powstawać już w średniowieczu. Skupiały one budowniczych, tzw. wolnych mularzy, którzy różnili się tym od zwykłych mularzy, że byli wykształceni. Loże zajmowały się kultywowaniem tradycji i tajemnic cechowych. O średniowiecznych lożach mamy bardzo mało wiadomości. Wznowienie lóż wolnomularskich nastąpiło w 1717 r., kiedy to architekt Wren, budowniczy Katedry św. Pawła w Londynie postanowił założyć bractwo skupiające uczestników budowy. Tradycja głosi, że akt erekcyjny został dokonany w jednej z londyńskich gospód, co sugeruje, że w trakcie uroczystości nie żałowano rumu.

Członkowie lóż zakładali sobie za cel duchowe doskonalenie oraz krzewienie zasad sprawiedliwości, odwagi i dobroczynności. Wkrótce jednak wolnomularstwo włączyło w ramy swoich zainteresowań naukę magów egipskich, żydowskich kabalistów, gnostyków i templariuszy. Tworzono coraz wyższe stopnie wtajemniczenia i komplikowano strukturę lóż, które stawały się stowarzyszeniami hermetycznymi i ekskluzywnymi.

Do Polski loże przyszły z Francji. Nie wiadomo, czy istniały przed 1738 rokiem, tj. datą wydania bulli przez papieża Klemensa XII, zakazującej tworzenia lóż, aczkolwiek nie brakowało w kręgach dworskich zwolenników wolnomularstwa. Masonem był król Stanisław Leszczyński, gen. Alojzy Brühl minister Augusta II oraz brat naturalny króla Fryderyk hr. Rutowski, który następnie utworzył lożę w Dreźnie „Pod trzema Białymi Orłami".

Najprawdopodobniej loża w Dukli była pierwszą polską lożą. Oprócz Mniszcha należeli do niej wojewoda mazowiecki Andrzej Mokronowski, płk Konstanty Jabłonowski, stolnik wielki koronny August Moszyński, referendarz wielki litewski Andrzej Ogiński, „oboźny i koniuszy wielki koronny Michał Wielhorski i dwaj Potoccy.

Loża pracowała wg rytu ścisłej obserwy. Ryt ten założony był w XVIII wieku przez barona Karola von Hunda, i nosił inną nazwę — templariuszowski. Wywodził się bowiem z zakonu Templariuszy podejrzanych o czary i zlikwidowanych przez króla Filipa Pięknego oraz papieża Klemensa X. Od rytu pierwszych lóż, tj. staroszkockiego różnił się bardziej skomplikowaną hierarchią stopni: miał oprócz czterech stopni przygotowawczych, stopnie wewnętrzne: nowincjusza, templariusza, templariusza-rycerza, giermka, towarzysza i kawalera profesa.

Charakterystyczną cechą lóż stopnia ścisłej obserwy była nienawiść do królów francuskich i papieży.

W tym miejscu nasuwa się pytanie: w jakim celu marszałek Mniszech założył lożę masońską?

Wydaje się, że powodowały nim względy polityczne. Loże, przez swą tajemniczość, znakomicie nadawały się do przeprowadzania zakulisowych spraw. Mniszech, który poślubił córkę Brühla, Amelię, był związany z dynastią saską. Zwalczał ugrupowanie Czartoryskich i był zagorzałym przeciwnikiem późniejszego króla Stanisława Augusta. Mniszech patrzał niechętnie na Rosję. Duszą loży dukielskiej był gen. Le Fort, Francuz z pochodzenia, służący w armii carskiej, którego cesarzowa Elżbieta poleciła wydalić z Rosji.

Nie wiadomo, gdzie odbywały się posiedzenia loży. Najprawdopodobniej w starym pałacu z XVI wieku, przebudowanym w XVIII wieku w stylu rokoko, słynnym ze wspaniałej galerii obrazów, kolekcji kielichów z czasów saskich i rzymskich mozaik, w którym mieści się obecnie szkoła. Po rozległym ogrodzie i obszernym parku przechadzali się zapewne członkowie loży. Kandydaci tzw. „światowi" byli doprowadzani do loży z zawiązanymi oczami i umieszczani w „izbie pokutnej". Tam oddawali się rozmyślaniom i siedząc pośród trupich główek i piszczeli, czytali na ścianach napisy: „Jeśli ciekawość prowadzi cię do zakonu, uciekaj stąd czym prędzej! Jeśli nie lubisz napominających cię za przywary, będziesz nieszczęśliwy między nami! Jeśli usiłujesz pokrywać się dobrymi pozorami, obłudą, drżyj — tu cię na wskroś poznają! Jeśli żądasz dostojeństw światowych, nie łącz się z nami, bo my żadnych dostojeństw nie mamy! Jeśli dusza twoja czuje trwogę, nie idź dalej! Jeśli wytrwasz do końca, wyczyszczony zostaniesz przez elementa, wyjdziesz z ciemności i znajdziesz oświatę!"

Mistrz loży zdobny we wstęgę z cyrklem połączonym z węgielnicą i w trójkątnym kapeluszu stosowanym ze strusimi piórami — otwierał zgromadzenie braci i wygłaszał do adepta przemówienie, powiadamiając go o istnieniu siedmiu obowiązków uczniów: Zaufania, Szczerości, Miłosierdzia, Posłuszeństwa, Łagodności, Cierpliwości, Odwagi i Milczenia. Następnie mistrz obrzędów sprawdzał, czy kandydat posiada owe cnoty (chcąc sprawdzić np. cnotę Szczerości nakazywał mu powiedzieć, jakich posiada wrogów i dlaczego stali się oni jego wrogami). W końcu zawiązywał mu oczy i poddawał trzem próbom: Ziemi, Powietrza i Ognia. Kandydata zrzucano do otworu nakrytego papierem i rozdzierający się papier czynił straszny trzask w uszach spadającego. „Brat" znajdujący się na dole chwytał go i wołał: „Nie bój się! Anioł wstrzymał ziemię, dał dno przepaści!". Próba powietrza polegała na umieszczeniu kandydata w czółnie, które spuszczano z sufitu na dół. Próba trzecia odbywała się przy akompaniamencie petard, pośród grzmotów i huku, a ogień osmalał twarz kandydata.

Wreszcie kandydat składał przysięgę na Wielkiego Budowniczego Świata, że nie zdradzi tajemnic. W przypadku ich wyjawienia zgadzał się „mieć gardło przerżnięte, język z gardła wyrwany, serce i wnętrzności wyszarpane i do morskiej rzucone przepaści, ciało na popiół spalone i po wszystkich czterech częściach od wiatru rozproszone". Nowo kreowany „brat" otrzymywał białe rękawiczki, fartuszek, przy czym tłumaczono mu „znak, dotknięcie i słowo uczniowskie".

Loża dukielska istniała bardzo krótko. Została przeniesiona do Krakowa, gdzie ślad po niej zaginął. Znane są tylko dalsze dzieje jej założyciela. Mniszech w 1757 roku otrzymał starostwo generalne wielkopolskie i zajął się zwalczaniem dysydentów, czyniąc tak na złość popierającej ich Katarzynie II, mimo iż z natury był, zdaje się antyklerykałem. Z wolna też zbliżał się do obozu przyszłych konfederatów barskich. Amelia Mniszchowa miała wielki wpływ na politykę Generalności. Za jej sprawą konfederaci ogłosili bezkrólewie. Po I rozbiorze Jerzy August Mniszech wycofał się z życia politycznego. Zmarł w 1778 roku.

Po Mniszchach został piękny pałac, odnowiony przez Jerzego Wandalina Mniszcha, ojca Jerzego Augusta — w 1720 roku oraz w XVIII-wiecznym kościele parafialnym Marii Magdaleny — murowany nagrobek Amelii córki Brühla, a żony Jerzego Augusta.

Dukla zaś stała się bogatsza o jeszcze jedną tradycję: tradycję pierwszej historycznie znanej w Polsce loży masońskiej.

Nagrody WRN – 1968

(Ciąg dalszy ze str. 1)

artystycznej „Rogate serce" w Krakowie. Jako członek tej grupy brał udział w jej wystawach w Warszawie, Lwowie, Poznaniu, Wilnie i w USA. Po wojnie — od 1946 roku do dziś bierze udział w wystawach okręgu ZPAP w Rzeszowie. Ponadto urządzał wystawy indywidualne o tematyce regionalnej (łańcuckiej) w Łańcucie i wędrowne wystawy indywidualne z prelekcjami, popularyzując sztukę w Przeworsku, Markowej, Krzemienicy, Rakszawie, Gniewczynie oraz w świetlicach zakładów pracy.

Franciszek Frączek brał także żywy udział w amatorskim ruchu artystycznym jako reżyser, aktor i dekorator i prowadził działalność k.o. od 1930 roku. Po wyzwoleniu kontynuował tę działalność na terenie Łańcuta, Żołyni i Rakszawy. Całokształt jego pracy artystycznej i kulturalnej miał duży wpływ na aktywizację społeczną i wzrost świadomości kulturalnej mieszkańców powiatu łańcuckiego.

Irena Chudzikówna — aktorka Teatru im. Wandy Siemaszkowej w Rzeszowie pracuje w zespole tego teatru od 1953 roku. W ciągu 15 lat pracy stworzyła około 50 postaci scenicznych, prezentując publiczności dzieła najwybitniejszych twórców dramatu polskiego i obcego. Wysoki poziom aktorstwa osiąga dzięki wzorowej dykcji, pięknie opanowanemu gestowi i umiejętności noszenia klasycznego kostiumu. Dzięki wszechstronności swego talentu występowała zarówno w komediach muzycznych, jak i w dramatach. Na szczególne wyróżnienie krytyki i publiczności zasłużyła rolami Lizy w „Zaklinaczu deszczu" Nasha i Karolci w „Ruchomych piaskach" Choinowskiego.

Zdzisław Kozień — aktor Teatru im. Wandy Siemaszkowej w Rzeszowie od roku 1953. Rozpoczął działalność sceniczną jako utalentowany amator w Domu Wojska Polskiego w 1945 r., później należał do zespołu „Kolejarza" w Krakowie, a w roku 1955 uzyskał uprawnienia aktorskie w teatrze zawodowym. Doskonały aktor charakterystyczny o szerokim wachlarzu możliwości scenicznych, obejmującym repertuar klasyczny i współczesny — komediowy i dramatyczny. Stworzył również ponad 50 postaci scenicznych z wyjątkową szczerością i prostotą oraz rzetelnością zawodową. Publiczność rzeszowska i widzowie całego województwa odnoszą się zawsze do niego z żywą sympatią. Wzruszał widownię takimi rolami, jak majora w „Fantazym", Biezuchowa w adaptacji Piscatowa „Wojny i pokoju", Czepca w „Weselu", Grabca w „Balladynie". Podziwiano go za role Solonego w „Trzech siostrach" Czechowa, Koss-Kossakowskiego w „Horsztyńskim" Słowackiego, wojewody w „Mazepie", Cześnika w „Zemście" i wiele innych. Przede wszystkim jednak jest twórcą bohaterów ludowych na scenie i postaci z ludu, propagatorem idei humanistycznych.

Katarzyna Trypaluk — kier. PiMBP w Mielcu. Pod jej kierownictwem biblioteki w powiecie mieleckim znajdują się w czołówce wojewódzkiej pod względem ilości i aktywności czytelników, bazy lokalowej (zwłaszcza w Mielcu) i poziomu działalności upowszechniającej czytelnictwo. Biblioteki w powiecie mieleckim dzięki jej inicjatywie przez szereg ostatnich lat biorą czynny udział we wszystkich konkursach i współzawodnictwach centralnych i wojewódzkich, zdobywając w nich pierwsze lub drugie miejsca. Np. w roku 1967 PiMBP w Mielcu uzyskała nagrodę centralną w wysokości 25 tys. złotych za wyniki we współzawodnictwie bibliotek, ogłoszonym dla uczczenia 50 rocznicy Rewolucji Październikowej.

Za swoje zasługi dla rozwoju bibliotekarstwa i upowszechnienia czytelnictwa Katarzyna Trypalukowa otrzymała „Złoty Krzyż Zasługi" i odznakę „Zasłużony Działacz Kultury".

Opracował: J. G.

Fot. M. KOPEĆ

Justyna Woś

KINO BEZ WIDZA?

1

— „Pancernych" dziś nie będzie...

— Dlaczego?

— Kino objazdowe przyjechało i odjechało.

W głosie 12-letniego chłopca wyczuwało się rozgoryczenie. Dla wielu takich jak on, fakt ten był wielkim zawodem. Starsi nie odczuli aż tak „boleśnie" tej rzadkiej rozrywkowo-kulturalnej straty — dla nich nieważne, iż właśnie w tym dniu nie odbyła się projekcja filmu „Czterej pancerni i pies". Ich przeraża bardziej nie to jednostkowe wydarzenie — ale wnioski, jakie nieodparcie po nim się nasuwają. Jedyne centrum rozrywki, jakim było kino w Ulanowie musiało być zamknięte ze względu na stan obiektu zagrażający bezpieczeństwu, od roku nie może przyjeżdżać nawet kino objazdowe, bo nie ma sali, wyświetlanie na „wolnym powietrzu" w okresie letnim nie może być oczywiście traktowane jako próba wyjścia z impasu. Władze miasta zdają sobie sprawę, iż zapotrzebowanie społeczne na kino jest większe niż może gdziekolwiek indziej. Ulanów ściąga turystów — ale nic poza uroczymi zakątkami nad Sanem i Tanwią niestety nie oferuje. Już dziś rozważa się ewentualność wygospodarowania sali widowiskowej w planowanym Domu Handlowym i przystosowania jej dla potrzeb kina. Jakie będą efekty ulokowania kina w pomieszczeniu, którym zechce dysponować kilku gospodarzy nietrudno przewidzieć; zrywanie seansów, dyskutowanie, czy film, czy zabawa, zebranie czy przedstawienie?

— Najlepiej gdyby kino miało własny budynek — mówi przewodniczący Prezydium MRN w Ulanowie — sami jednak nie wybudujemy sobie takiego obiektu. Nie stać nas. Miasteczko liczy 1500 mieszkańców, rozwija się Ośrodek Wypoczynkowy Huty „Stalowa Wola"... może pomogliby, gdyby nie mieli ważniejszych problemów z rozbudową. Władze powiatowe w Nisku zgadzają się z opinią, że kino w Ulanowie jest konieczne, ale bronią się: takich „konieczności" jest wiele. W powiecie istnieją tylko 3 kina stałe, w tym tylko jedno uznaje się za nowoczesne (w Rudniku). Kino w Nisku i stałe kino wiejskie w Kamieniu, są obiektami zakwalifikowanymi jako nie nadające się do dłuższej eksploatacji, nie cieszą się też popularnością wśród publiczności, frekwencja widzów jest mniejsza np. od frekwencji na terenie strzyżowskim — należy do najniżej notowanych w województwie. Dlaczego tak się dzieje? Nie trzeba specjalnych kombinacji myślowych, aby znaleźć odpowiedź na to pytanie i przekonać się, iż mała frekwencja nie zawsze jest równoznaczna z brakiem zainteresowania sztuką filmową. Kto pójdzie do starego, o złej wentylacji i akustyce kina, w którym w końcu prezentuje się niezbyt przyciągający widza zestaw filmowy?

Jeden z kinomanów w Nisku powiedział:

„Przykład to stary, ale dobrze ilustrujący naszą sytuację. Wszyscy pamiętają erę „Krzyżaków" i takich „er" jest więcej w kinematografii. Wtedy organizuje się masowe wycieczki do kina... ale nie do kina w Nisku. Obok jest Stalowa Wola — dwa kina, jedno I kategorii, państwowe i jedno związkowe. Przecież to oczywiste, że większość z nas woli tam pojechać aniżeli czekać rok czy nawet pół roku, aż atrakcyjny, nowy film dotrze do Niska".

Analogicznie na brak widza może uskarżać się Rozwadów i wiele innych miejscowości. Repertuar tych kin jest przestarzały w stosunku do wymienionych kin stalowowolskich, chociażby dlatego, że są to kina o niższej kategorii i w związku z tym muszą „swoje" odczekać w CWF-owskiej kolejce po filmy wchodzące na ekrany.

2.

Spadek frekwencji jest zjawiskiem rozrastającym się i niepokojącym. Prowadzona więc akcja modernizacji, remontów, przystosowania obiektów dla potrzeb nowoczesnego kina, mogłaby skłaniać do stawiania optymistycznych horoskopów na przyszłość. Aktualnie w remoncie znajduje się kilkanaście kin; ograniczając się do najważniejszych, to — w Łańcucie, Bieczu, Zagórzu, Pilźnie, Frysztaku, Czudcu. Ale o tym jak długo społeczeństwo czeka i jak długo będzie jeszcze czekało na „uroczyste oddanie do użytku" nie mówi się, bo nie wiadomo, mimo „ostatecznych" zobowiązań terminowych wykonawców.

KADR Z FILMU „SMOG"

Oprócz tych, już wymienionych, spośród 143 kin stałych naszego województwa, jest jeszcze wiele takich, które oczekują na modernizację np. kina w Gorlicach, Mielcu, Sanoku, dwa kina w Przemyślu Błażowej, Tyczynie i innych miejscowościach. W statystycznym zestawieniu znajdują też swoje miejsce i te kina, które za kilka lat, tak jak kino w Ulanowie, ze względu na stan bezpieczeństwa będą musiały być wyłączone z eksploatacji (Ustrzyki Dolne, Lesko, Dębica, Nisko, Przeworsk, Medyka, Baligród, Cisna itp.). Wojewódzki Zarząd Kin w swoich planach inwestycyjnych rozważa najważniejsze potrzeby unowocześniania, czy budowy obiektów kinowych. Czy uwzględni wszystkie? Nie. Trudności z przygotowywaniem dokumentacji projektowo-kosztorysowej na remonty („Miastoprojekt" w Rzeszowie broni się przed tego typu pracą), niewystarczająca współpraca z władzami terenowymi (które szczególnie powinny być zainteresowane problemami kina na swoim terenie) znacznie opóźniają akcję remontów i budowy sal kinowych.

Do spraw szczególnie drażliwych należą niepowodzenia w dążeniu do otwarcia kina w miejscowościach, które dysponują salą (n. b. nie wykorzystaną w pełni). Nie udostępnia się jej publiczności żadnej kina tylko dlatego, że administratorzy terenowi nie zgadzają się na najmniejszą adaptację i warunki proponowane przez Wojewódzki Zarząd Kin. I w tym względzie można by wskazać wiele przykładów ignorowania uchwały Prezydium WRN (z dn. 10 V 1962 roku) zobowiązującej terenowe rady narodowe do przystosowywania pomieszczeń dla potrzeb kina, nie mówiąc już o takich „drobiazgach", jak niesprzątanie i nieopalanie sal zimą dla kina objazdowego. Nie trzeba chyba wyjaśniać w jakim stopniu brak troski o zapewnienie względnych warunków lokalowych pogłębia zniechęcenie widza do kina...

Tak wygląda sprawa w relacji przedstawicieli Wojewódzkiego Zarządu Kin. Natomiast władze terenowe w odpowiedzi na ten obciążający zarzut mówią o zbyt rygorystycznych czasami nie do przyjęcia, warunkach stawianych przez inwestorów. Wojewódzki Zarząd Kin chce mieć zapewnioną wyłączność użytkowania locum, na to nie mogą zgodzić się terenowi administratorzy w wypadku, gdy jedyna sala w miejscowości musi być miejscem zebrań, spotkań, zabaw, czy też seansów filmowych. Czas, aby zażegnano konflikty i pomyślano o kompromisowym wyjściu z tej trudnej sytuacji, aby społeczeństwo mogło korzystać zarówno z działalności kina, jak i innych ośrodków kulturalnych.

3

Prowadzona przez CWF polityka repertuarowa polegająca na rozdzielaniu filmów według kategorii kin jest zasadą słuszną i nie budzącą niczyich zastrzeżeń. Należałoby się jednak zastanowić, jakie kryterium decyduje o kierowaniu filmów do kin najniższej kategorii, kin wiejskich i objazdowych?

Niewątpliwie, możliwości repertuarowe są ograniczone, chociażby z tego względu, że istnieje dysproporcja między ilością wchodzących na ekrany filmów panoramicznych (około 180 nowych rocznie) a filmami na taśmie 16 mm (100 rocznie), które docierają do kina wiejskiego.

(Ciąg dalszy na str. 6)

Franciszek Ceglak

Zapal mi dzień

Pamięci Bronisława Ludwika Michalskiego

zapal mi dzień
choć wiem że nie przyjdziesz
nie wiem czy nawet poznać cię zdążę

z wiatru szyję prędkie godziny
bo w przybliżeniu
wyraźniejszy jest obraz

ten czas
który utrwaliłeś:
pałąkowate domy, stukanie wiatru o rynnę, pieśń
mówi mi więcej
niż poznany dotąd układ zdań

jesteś słońcem co trwa w moich oczach
Sanem co ptaka w zieleń powiedział
poprzez tę przestrzeń — białocień nieba

zapal mi dzień
od pletw gwiazdozbioru
po rytm tym co piękne którym się stałeś

Bronisław Ludwik Michalski — poeta z Sieniawy, zginął śmiercią tragiczną podczas kąpieli w Wiśle w 1935 r.

Barbara Pociej
(debiut)

* * *

Okruchem chleba była moja cisza
Ty ciszą byłeś
Piaskiem w przetaku był mój spokój
Twój był opoką
Kroplą wody na drucie moja siła
Ty szeroka rzeka
Nie ma okruchów, piasku, kropli...
Dlaczego?
Zwyczajne dni rozedrę ostrym błyskiem
Kamień rozkruszę jedną iskrą
Rzekę wysuszę oddechem moich ust
Tylko podaj mi rękę
Moją rozpaczą przyczernię twoje skronie
A szczęściem rozniebieszczę szare oczy
Śmiechem wypełnię pusty spokój
Podaj rękę
Będę chlebem na twoim stole
I będę wodą w twoim dzbanie
I ziemią będę po której pewnie stąpasz.

Wystawa miniatur Janiny Garyckiej

Otwarta w dniu 21 bm. w KMPiK w Rzeszowie wystawa miniatur portretowych Janiny Garyckiej zasługuje na uwagę miłośników malarstwa miniaturowego ze względu na wysoki poziom artystyczny i precyzję oraz doskonałość warsztatu twórczego. Artystka — znana dobrze w krakowskim środowisku plastycznym — ukończyła studia w ASP w Krakowie w pracowni prof. Hoplińskiego. Namalowała już około 1000 miniaturowych portretów, z których wiele znajduje się poza granicami kraju — w USA, we Włoszech, Francji, a nawet w Afryce. Wystawa rzeszowska jest czternastą z kolei ekspozycją jej prac, po kilku krakowskich oraz zakopiańskiej, koszalińskiej i in. Trzeba dodać, że przy uprawianiu tego rodzaju malarstwa trudno organizować wystawy, gdyż w dużych galeriach ginie piękno i wyrazistość miniatur. Twórczość Janiny Garyckiej popularyzował kiedyś „Przekrój" publikując reprodukcje jej portretów wraz z artykułem o jej twórczości. Najczęściej modelami artystki są kobiety i dzieci, mniej spotyka się portretów męskich. W najbliższym czasie Garycka będzie wystawiać swe prace w Bułgarii, a później w Domku Kata w Koszalinie (wystawa portretów zespołu koszalińskiego teatru poezji „Dialog").

Janina Garycka oprócz miniatury portretowej uprawia także scenografię i zajmuje się pracami konserwatorskimi dzieł sztuki.

(jg)

Marian Janiga

Nerwica szkolna

W nr 30 (356) z dnia 28 lipca 1968 r. „W i d n o k r ę g u" zwróciłem uwagę na problem dzieci niedorozwiniętych pod względem umysłowym, czyli tych, które w badaniach psychologicznych wykazują i l o r a z i n t e l i g e n c j i w granicach 70—50. Tym razem chcę zająć się dziećmi z pogranicza niedorozwoju (o ilorazie inteligencji 70—80) i dziećmi ociężałymi umysłowo (o ilorazie inteligencji 80—90). Dotychczas szkoły lub rodzice zgłosili do Poradni Wychowawczo-Zawodowej w pow. gorlickim takich dzieci ponad 120. Ponieważ dzieci te nie mogą być kandydatami do szkoły specjalnej, a w normalnej szkole podstawowej mają często duże trudności w nauce, chcę przedstawić jak Poradnia Wychowawczo-Zawodowa wraz z Wydziałem Oświaty zamierza rozwiązać w nowym roku szkolnym problem tych dzieci.

Zdecydowana większość tych dzieci była skierowana do Poradni jako podejrzane o niedorozwój umysłowy. Trzeba jednak podkreślić, że przy przeprowadzaniu selekcji do szkół specjalnych nader ważna jest właściwa ocena inteligencji dziecka oraz prawidłowe odróżnienie niedorozwoju umysłowego tak od ociężałości umysłowej, jak i od opóźnienia pedagogicznego powstałego w wyniku zaniedbania wychowawczego. Ociężałość umysłową cechuje ogólne obniżenie sprawności umysłowej, wyrażające się przede wszystkim w powolności procesów myślowych, w trudności przystosowania się do nowych sytuacji i w braku inwencji. Krytycyzm jest u dzieci ociężałych umysłowo na ogół zachowany. Ociężałość umysłowa nie uniemożliwia pobierania nauki w normalnej szkole, szczególnie jeśli kompensowana jest dużą pracowitością dziecka. Na ogół jednak dzieci ociężałe umysłowo wymagają pozalekcyjnej systematycznej indywidualnej pomocy w nauce i tylko wtedy, gdy mają zorganizowaną taką pomoc, czynią zadowalające postępy. Sprawa komplikuje się, gdy nie można dziecku (ze względów środowiskowych) zapewnić takiej pomocy; niekiedy kończy się skierowaniem dziecka ociężałego do szkoły specjalnej. Miało to miejsce w br. w naszym powiecie w 15 przypadkach. Ze względu na większe możliwości intelektualne tych dzieci, jak i ich krytycyzm w myśleniu, rozwiązanie tego rodzaju nie jest jednak korzystne.

Ponieważ dzieci te mają trudności w przystosowaniu się do nowych sytuacji, nierzadkie są u nich przypadki tzw. n e r w i c y s z k o l n e j. Przyczyną powstawania nerwic są niepomyślne sytuacje w środowisku, w jakim

(Ciąg dalszy na str. 7)

JAN BRZÓZA
MECZ NA WSI

Jasiek Kozioł miał dar opowiadania. Był to wygadany i oczytany chłopak. Miał własny, dowcipny styl i nawet powtarzające się słowo „bracie" było używane przez niego bardzo zgrabnie. Opowiadał teraz przebieg meczu piłki nożnej, jaki rozegrała poprzedniej niedzieli jego drużyna z LZS-em sąsiedniej wsi. W świetlicy było jasno od blasku księżyca, a przez otwarte okno przypływała od czasu do czasu odurzająca woń skoszonego siana.

— Już od samego rana musieliśmy z Franusiem Szczypawką — mówił Jasiek — zbierać graczy z całej wsi na ten mecz. Biegiem średniodystansowym lataliśmy po całej wsi i budzili naszych piłkarzy. Musieliśmy ich, bracie, wyciągać z rozmaitych strychów, stodół, otrzepywać ze słomy, pędzić, żeby się bodaj trochę umyli i zaczesali. W ten sposób zdołaliśmy zebrać całą drużynę z wyjątkiem prawego pomocnika, Józia Guzika, który gdzieś znikł bez śladu. Okazało się, że poszedł na zaloty aż na trzecią wieś. Mamy rezerwowego Ignaca Chucherkę, ale zabrać go ze sobą na ten decydujący mecz?... Lepiej nie... Bo a nuż kopnie piłkę, pomyślcie: a nuż kopnie, to co wtedy? Przecież wiecie, że Ignac, chłop na dwa metry, najsilniejszy w powiecie, a przy tym pechowiec. Poszliśmy nawet po poradę do kierownika szkoły, pana Gwizdalskiego, który jest prezesem GRSW. Pan kierownik, bracie, jedną ręką pił kawę, a drugą kołysał dziecko i mimo tych zajęć poradził, żeby jednak Ignaca zabrać.

— Bo trzeba ratować honor naszej wsi — powiedział. Postanowiliśmy zabrać Ignaca. Nasz prawy łącznik Wicuś Kułakowski chciał zabrać ze sobą, tak na wszelki wypadek, coś z ciężkiego przemysłu, ale ja wygłosiłem mowę, w której wytłumaczyłem, że dziś już nie te czasy ciemnoty, kiedy chłopcy szli na drugą wieś z drągami i innymi narzędziami. Teraz kultura sportowa i my musimy wygrać ten mecz, a na wszelki wypadek mamy ze sobą Ignaca.

Zaraz po śniadaniu wyruszyliśmy na mecz, odprowadzeni oczyma nie tyle całej wsi, ile naszych rodzin. Zwłaszcza matka Ignaca żegnała go gorącymi słowami pożegnania: „Jak przyjdziesz z podartymi butami, to ci kości połamię". Ignac pożegnany tak serdecznie zaproponował krótszą drogę i my zgodziliśmy się. Miedzami, sianokosami, koło zagajnika, a potem rzeczka i mostek, wiecie, taki jeden pień drzewa. Rzeczywiście droga o wiele krótsza i niedobre przeczucia o pechowatym Ignacu jakoś się nie sprawdzały. Dopiero, kiedy stanęliśmy nad rzeczką, okazało się, że, jak mówi dziadek Błażej: „tędy bliżej a dalej, a tędy dalej a bliżej". Mostku nie było. Nie było i już, pewnie podczas deszczów woda zabrała.

Wtedy nasz kapitan, Franuś Szczypawka, powiedział gromkim głosem, że taka rzeczka dla nas sportowców, to jak miska z kaszą. Kazał rozbierać się i przejść wpław. Drużyna zaczęła ściągać spodnie, koszule i co kto tam jeszcze miał i bracie, buch w wodę. Porobili sobie zawiniątka, trzymają nad głowami i brodzą wśród wzburzonych fal ku zwycięstwu. Na samym przedzie dryfował nasz kapitan, który pierwszy dosięgnął tamtego brzegu. Dobrnął do brzegu napad, nawet pomoc i obrona i pozostał jeszcze tylko prawy pomocnik, Ignac Chucherko, który jest znanym na cały powiat łamagą. Szedł sobie spokojnie przez rzeczkę, jak ciężki okręt, nawet się, bracie, nie wysilał, ale co. Niósł on w jednej ręce zawiniątko z ubraniem i butami, a w drugiej piłkę numer piąty, dobrze napompowaną pompką rowerową pożyczoną od Marysi Majrzakówny. Szedł tak sobie, szedł i szedł, jak gdyby nigdy nic i już, już dosięgał brzegu, tylko ręce wyciągnąć... Raptem poczuł, że noga mu się pośliznęła i odczuł, że leci głową w wodę i nawet mógł się utopić, bo pływa, jak siekiera. W tej ważnej chwili jego życia przyszła mu, bracie, myśl mądra. Co ma robić? Którą ręką ma się złapać brzegu? Czy tą, w której trzymał węzełek, czy tą w której znajdowała się piłka nożna. Kiedy już głowa była w wodzie, przyszła mu dopiero do tej głowy mądra myśl, że buty są ważniejsze (rzadko kiedy ma tak mądre myśli). Wypuścił piłkę numer piąty i wtedy dopiero wpadł do wody. Powstało małe zamieszanie i wreszcie naszego prawego pomocnika wyciągnęli, a on zaczął krzyczeć, że balon — „balon trzymajcie, woda mi zabrała".

Nasza drużyna nie miała nawet czasu oburzyć się na to, że jej członek tak nie po fachowemu nazwał sprzęt sportowy i cała jedenastka wytężyła wzrok w poszukiwaniu za piłką. A piłka sobie tymczasem popłynęła. Wtedy nasza reprezentacyjna drużyna z kapitanem Franusiem na czele pognała za piłką wzdłuż brzegu. Biegli tak sobie gracze za piłką w stroju, bracie, olimpijskim, czyli tak jak ich matka na świat wydała. Już, już dopędzali, gdy z tamtej strony nadeszła gromada bab i dziewcząt z odpustu. Szły sobie, pieśni pobożne śpiewały, niczego nie przeczuwając. To co zobaczyły było tak straszne, że wszystkie, jak na komendę zakryły oczy i tylko tfu, krzyczały. Ciotka zaś, Honorata, pokazała palcem na biegnących graczy i krzyczała, że do czego może doprowadzić diabelska zabawa, zwana sportem wiejskim. Drużyna musiała się schować i gdy baby poszły, wystartowała do biegu za piłką, która popłynęła ho ho, bracie, aż do młyna państwowego numer dwa.

Zanim wróciliśmy na miejsce desantu i zanim doszliśmy do tamtej wsi, była już godzina czwarta na zegarze tamtejszego prezesa GRSW i sołtysa w jednej osobie. Był to jedyny zegar w tamtej wsi i to budzik, pokazujący godziny według czasu amerykańskiego, to znaczy, jak u nas dzień, to na budziku noc. I w dodatku, bracie, dzwonił akurat wtedy, kiedy nie trza. Mówiliśmy, tłumaczyliśmy, że najwyżej druga godzina, to widać po słońcu, czyli w sam raz na rozpoczęcie meczu. Prezes i cała jego jedenastka wraz z rezerwowymi i kibicami nie chcieli jednak rozegrać zawodów, bo mówili, bracie, że czekali i nie doczekawszy się odgwizdali walkower na swoją korzyść. Powołali się nawet na przepisy GKKF oraz broszurę pod tytułem: „Jak zdobyć mistrzostwo piłki nożnej". Najwięcej gadałem ja, bo mam taką już, bracie, gębę do gadania. — „No dobrze — mówiłem — mądre są te przepisy w tej książeczce, ale tam jest także o „sile wyższej". (Kiedy gadałem o sile wyższej, wszyscy patrzyli na naszego Ignaca, który zawsze wygląda, jak „siła wyższa"). — Podałem liczne przykłady siły wyższej, jak np. w naszym chórze świetlicowym. Opowiedziałem, jak to się, bracie, przygotowaliśmy do odśpiewania „Kantaty na cześć Akcji H", kompozycji naszego dyrygenta, Grzesia Szczygła. Mieliśmy z tą kantatą pojechać na festiwal powiatowy, gdy tymczasem, wiecie, baryton, Michałek Szwec tak zachrypł, że z barytonu zrobił mu się w gardle babski alt. To zamiast ryczeć, jak wół, piał on, bracie, jak kogucik i to się nie zgadzało z partyturą. Potem opowiedziałem o rzeczce, piłce, o babach i w tym miejscu opowiadania tak się wszyscy rozczulili, że zgodzili się wreszcie rozegrać mecz.

O tym, co się działo na boisku, trudno opowiedzieć, na to trzeba by było jakiegoś sprawozdawcy sportowego z polskiego radia. Ja opowiem, że gra była owszem, nawet żywa i pełna niebezpiecznych sytuacji. Niestety, skończyła się zupełnie inaczej niż w książce „Jak zdobyć mistrzostwo piłki nożnej". Tego, że udało się naszemu prawemu pomocnikowi mimo przeszkód stawianych przez obie drużyny, Ignacowi Chuczerkowi kopnąc piłkę, nie będę opisywał. To byłoby zbyt straszne. Dość, że piłka znalazła się na wierzchołku stuletniej lipy i trzeba było przystawiać drabinę, aby ją stamtąd zdjąć. Sytuacja zmieniła się w tym momencie, gdy na stadion sportowy w drugiej połowie wpadł 2-letni byczek czarnej maści, simentalskiej rasy, który wśród wrzawy publiczności i krzyku gęsi, odebrał piłkę naszemu kapitanowi Franusiowi i podawszy ją sobie na główkę poprowadził ku naszej bramce. Nasza drużyna zaczęła głośno protestować. Byczek tymczasem nic sobie z nas nie robiąc, ciągnął piłkę prawidłowo i już, już miał nam wsadzić gola, gdy nagle ujrzał Ignaca. Zostawił piłkę i zadarłszy ogon, a spuściwszy łeb, ruszył do ataku na naszego prawego pomocnika. Teraz zaczął się inny sport. Obie drużyny i część publiczności zaczęła bawić się w torreadorów. Wszyscy starali się byczka odwieźć od złych zamiarów względem Ignaca, ale byczek rasowy, z metryką i charakterem, ganiał po całym boisku za naszym zawodnikiem. Ignac jak mógł starał się uniknąć nierównej walki, lecz widząc, że na boisku nie da rady, pomknął w stronę wsi. Byczek za nim, a za byczkiem obie drużyny i część publiczności. Obie drużyny i część publiczności zastały obu przeciwników w sytuacji, bracie, nierozegranej, a mianowicie, Ignaca zamkniętego w obórce, byczka zaś czekającego na wyjście przeciwnika. Przy zgodnej współpracy i pomocy sąsiedzkiej zdołali byczka ujarzmić, a gracza uwolnić. Na tym się zawody skończyły, właściwie z wynikiem remisowym.

Wracaliśmy obdarowani jabłkami, tym razem drogą normalną. Tylko Ignac kulał, bo okazało się, że oderwała mu się gumowa podeszwa, klapiąc podczas marszu. Co matka zrobiła, nie wiem, bo go nie widać nigdzie. Nie przyszedł dziś do świetlicy.

Rys. J. SIENKIEWICZ

O miejsce

Z górą półtora roku temu, w którymś z numerów warszawskiej „Kultury" ukazał się artykuł pod znamiennym tytułem „Królowa nauk czy szarlatanerla?". Autor, umieszczając w centrum swoich rozważań jedną z najbardziej złożonych dyscyplin społecznych, socjologię — charakteryzował ją z punktu widzenia cech przysługujących tym dwom, nawzajem przeciwstawnym, zawartym w tytule pojęciom. Artykuł w ostatecznej konkluzji nie przyniósł rozstrzygającej odpowiedzi; pytanie pozostało otwarte, a zwątpienie autora w naukowość socjologii jeszcze raz przypomniało, że nie zdążyła ona wypracować w sposób zdecydowany i pewny należnej sobie pozycji.

Przyczyn jest wiele. Z jednej strony — przyczyny wewnętrzne, wynikające z samej istoty socjologii, z jej zagadnień ontologicznych i metodologicznych, ze złożoności społeczeństwa, które jest przedmiotem jej dociekań. Z drugiej strony — z daleko większą mocą działające przyczyny zewnętrzne, których źródłem jest brak zrozumienia potrzeby socjologii i przede wszystkim — nagminnie występująca nieznajomość elementarnych jej pojęć wśród tych, którzy podejmują współpracę z socjologami. Tak więc doszliśmy do punktu, z którego łatwo wejść w problem praktycznego wykorzystania wiedzy socjologicznej i w zwykłe sprawy zatrudnienia.

Od kilku lat najbardziej chłonnym „rynkiem", zgłaszającym największe zapotrzebowanie na socjologię jest przemysł, ze swoimi dużymi zakładami, w których etat socjologa ustalony jest z góry i określony ustawą. Wydawałoby się, że w momencie, gdy „świeżo upieczony" absolwent wyższej uczelni zostaje zatrudniony w którymś z takich zakładów — kończą się wszelkie problemy i trudności, zaczyna się pożyteczne realizowanie praktycznej funkcji socjologii. Niestety, sprawa wygląda zupełnie inaczej.

Naturalnie, istnieją placówki, w których kierownictwo doskonale rozumie potrzebę współpracy z socjologiem i wykorzystuje wyniki przeprowadzonych przez niego badań, o ile gwarantują one zmiany na lepsze, a więc postęp. W większości zakładów przemysłowych jednak spotkać można dwie najbardziej typowe sytuacje:

a) Kierownictwo posiada w bardzo mglistym zarysie obraz czynności przewidzianych dla socjologa, bądź nie posiada go wcale. Wtedy ten ostatni, zmuszony do zupełnie samotnego działania, skazany jest na własną intuicję w wynajdywaniu zakładowych bolączek.

b) Kierownictwo orientuje się w zakresie czynności i obowiązków socjologa, przedstawia mu konkretne problemy, które wymaga-

WŁOSKIE

Tadeusz Kubas

100 tysięcy mieszkańców i rok rocznie ponad 5 milionów turystów. Stanowi to 25 procent wszystkich odwiedzających Włochy. Jakie bogi prowadzą turystów do tego miasta ubożuchnego w stosunku do Rzymu, Neapolu czy Wenecji, jeśli idzie o wielkie dzieła czasu przeszłego? Jedyną atrakcją Pizy jest pochyła wieża, która przynosi miastu rocznie miliard lirów zysku. Opłata wstępu to nie wszystko. Przeważnie każdy turysta kupuje jeszcze pamiątkową makietę wieży za 200, 300 lub 600 lirów.

Tak to często bywa, że nie udana inwestycja może stanowić również źródło byznesu.

A więc, rodacy, głowy do góry!

W Pizie jest jeden zakład przemysłowy. Wynagrodzenie miesięczne robotnika wynosi — w zależności od stopnia kwalifikacji — od 40 do 90 tysięcy lirów. Jedną czwartą zarobku pochłania czynsz za wcale nie komfortowe mieszkanie — pozostałe trzy czwarte muszą wystarczyć na utrzymanie — przy czym cena 1 kg mięsa wynosi do 3 tysięcy lirów, a przeciętny obiad kosztuje w restauracji 1,5 tysiąca lirów.

Uliczne manifestacje na rzecz obniżenia czynszu za mieszkania oraz strajki w sprawie podwyżki płac stanowią jedne z podstawowych form walki robotników o swe prawa, którą kieruje Włoska Partia Komunistyczna.

Z jej przedstawicielami — działaczami Okręgowego Komitetu w Pizie — spotkaliśmy się w Domu Kultury wybudowanym ostatnio ze społecznych składek. Bufet bogato wyposażony między innymi w napoje alkoholowe nie przeszkadza w kulturalnym korzystaniu przez robotników i młodzież ze znajdujących się tutaj urządzeń.

Gospodarze w rozmowach towarzyskich i oficjalnych wystąpieniach bez skrupułów mówią o niełatwym życiu włoskiego robotnika: o niskich zarobkach, braku pracy, miejsc w szpitalach i szkołach, mimo że leczenie i nauka są odpłatne.

Zjawiskiem powszechnym jest korzystanie z dwupokojowego mieszkania przez kilka robotniczych rodzin.

Ponieważ własne mieszkanie stanowi większy luksus niż samochód, właściciel fabryki — belgijski kapitalista — przyzna-

dla socjologii

ją rozwiązań i naukowych opracowań, finansuje potrzebne badania, ale nie wykorzystuje ich wyników, jeżeli godzą one w ustalony i, być może, wygodny układ stosunków zakładowych.

W takiej sytuacji wystarczy pomnożyć niepotrzebne wyniki niepotrzebnych badań przez sumę niepotrzebnie wydanych pieniędzy, aby otrzymać zastraszająco wysoki „współczynnik bezużyteczności" dla poszczególnych zakładów. Główny sprawca tego zamieszania — nieszczęsny socjolog — w momencie, gdy w całej pełni uświadomi sobie także i swoją bezużyteczność, zaczyna ograniczać się do comiesięcznego pobierania pensji, która (chociaż nie z jego winy), wcale mu się nie należy.

Pozostaje do omówienia jeszcze jeden problem, mianowicie dość żenująca, ale nagminna tendencja utożsamiania socjologii z psychologią. Dyscypliny te mają na pewno ogromnie dużo punktów wspólnych, zarówno w zakresie ontologii, jak i metodologii, ale są to jedynie punkty styczne, a nie tożsame, zresztą najlepszym tego dowodem jest ich wyodrębnienie w uniwersyteckim programie nauczania. Tendencja ta wydaje się być tym bardziej drastyczna, iż występuje ona u osób zajmujących niejednokrotnie odpowiedzialne stanowiska i posiadających wyższe wykształcenie. Podnosząc tę kwestię nie upieram się przecież przy konieczności precyzyjnego i naukowego odróżniania obu dyscyplin przez ludzi, którzy nie mają zawodowego z nimi kontaktu. Jedynie powierzchowne rozróżnienie między tymi dwoma członami wyrazowymi: „socjo"- i „psycho"- wydaje mi się niezbędne, głównie w tym celu, aby zapobiec bolesnym nieporozumieniom. Zdarza się bowiem i tak, że poważne instytucje obiecują zatrudnić socjologa, beztrosko utożsamiając go z psychologiem, a gdy ta smutna pomyłka wychodzi na światło dzienne — niepoważni przedstawiciele poważnych instytucji bezradnie rozkładają ręce.

Na razie tyle. Moje refleksje są jedynie zasygnalizowaniem daleko szerszych i palących problemów. Jest rzeczą niewątpliwą, że odpowiedzi rozstrzygającej na pytanie zawarte w tytule: „Królowa nauk czy szarlataneria?", udzielić muszą sami socjologowie, poprzez dalsze usprawnianie swoich warsztatów naukowo - badawczych. Ale usunięcie przyczyn zewnętrznych, którym poświęciłam moje uwagi, a które utrudniają socjologii zajęcie najwyższej pozycji w rzędzie nauk — wymaga wspólnego wysiłku zarówno tych, którzy dysponują wiedzą socjologiczną i dążą do praktycznego jej zastosowania, jak i tych, którym ma ona być ofiarowana.

BARBARA PALCZAK

NA KAZIMIERSKIM RYNKU

Po kazimierskich wzgórzach przelatują wiatry, bębnią burze, mgły rozwieszają swoje srebra, a kapryśne słońce, przyczajone za wielką chmurą i widać zazdrosne o pierwszeństwo w urodzie, coraz wysuwa się, zadumane, by choć popatrzeć na ów fenomen przyrody, któremu każda aura przydaje uroków. Mgły wtedy srebrzą się intensywniej, dziwaczne daszki z gontów, mchu i czerwonej klepki błyszczą jak surrealistyczne broszki, a kamienny Krzysztof z Mikołajem — święci nadnaturalnej wielkości — pobłażliwie patronują barwnemu korowodowi na rynku.

Bo rynek kazimierski w pierwszych dniach sierpnia zdumiewa przybysza. Zamieniony w wielki jarmark towarów i ludzkich pomysłów huczy głośnikami, a echa rozmów zupełnie prywatnych ekipy telewizyjnej przetaczają się po wąwozach, by nudną nijakością burzyć dostojną ciszę.

...„Napek, proszę cię, bliżej, Napek, proszę cię, niżej, Napek proszę cię, z prawej, Napek — teraz podcienia, po podcieniach mansardy, proszę państwa, zrozumcie, że podcienia mają być próżne, nie utrudniajcie, panienka z zespołu Kraśnika nieco do przodu, o, teraz dobrze, nie, nie, teraz źle, pan Marzyński proszony do studni, gdzie jest pan Marzyński, w studni? — to dobrze, że jesteś, czy nie sądzisz, że...".

Pan Marzyński robi turniej miast: rywalizują Kraśnik i Puławy, same niemalownicze, przeto trzeba je przenieść do Kazimierza i w tym neutralnym plenerze dowieść, które lepsze, które słabsze. Pan Marzyński ma pomysły, trzeba mu to przyznać, a Kazimierz malowniczy i malowany niejednych filmowców już widział.

Pan Marzyński wymyślił jarmark w Kazimierzu, który trwał 150 minut i sprzedawano na nim wszystko: od kwiatka do krowy, od siwaka do warchlaka. Sprzedawano po równej ilości produkt i zwierzę puławskie z produktem i zwierzęciem kraśnickim. Sprzedawano ludowe umiejętności artystyczne: garncarz lepił świątki na oczach tłumu, kowal na dymiącym żarem kowadle klepał nowoczesny żyrandol; jak przed wiekami, tyle że z nader nowoczesną ceną. Utarg w złotówkach miał zadecydować, który przygotował na kiermasz lepszą jakość serów, owoców, kwiatów i krów. Finał oznajmił całej Polsce, że były to Puławy: ci co tam byli i kraśnicką śmietanę pili demagogicznie poszeptują, że ów tysiąc złotówek więcej zdobył przeciwnik dzięki jednej, słownie jednej krowie, która, sprzedana w ostatniej chwili jako jedyna przedstawicielka zwierza dużego, drogiego i raczej mało kupowanego przez 300 zaproszonych z Warszawy gości przechyliła szalę zwycięstwa zdecydowanie i niesprawiedliwie.

Targ był w ogóle imponujący i kolorowy, czego telewidz niestety, zobaczyć nie mógł, dlatego nie ma o nim pojęcia. Harmider zresztą też był imponujący, czego telewidz także nie mógł usłyszeć. A w ogóle to, co telewidz zobaczył i usłyszał, ani w połowie oddaje atmosferę turnieju miast — najpracowitszej imprezy telewizji polskiej, która po raz trzynasty, pechowy — jak to rzekł Marzyński, zagościła na szklanym ekranie.

Te 150 minut zmagań dwóch miast, od kuchni widzianych, kosztowało dwa tygodnie pracowitych przygotowań, prób, konsultacji, no i naturalnie dużo, dużo złotówek. Ani mi w głowie obliczać ile, choć co gorliwsi usiłowali nawet parę setek żarówek nad straganami zsumować jako argument typu: to same żarówki — a reszta? Tu pukali się palcem w czoło, a tymczasem stary pradziadek z Kraśnika wyrywał rzepkę, kurtuazyjnie uchylając kapelusza i zapewniając zgromadzoną publiczność, że nie takie drobiazgi w życiu wyrywał...

Kamerzysta na dźwigu górującym nad ryneczkiem, któremu zapewne już nie było Napek na imię, panoramował obraz: wszystko wtedy zmalało, nawet uroki wzgórz; uciekłam więc od telewizora na wzgórzu i popędziłam na rynek, by na żywo rzecz ujrzeć.

I stał się cud, bo tam w dole, w rynku, rzeczywiście była impreza żywa, barwna, o niepowtarzalnym klimacie, bajecznie kolorowa dzięki reflektorom i kwiatom, pełna autentycznego niepokoju o wyniki, zajadłej rywalizacji, z bezkrytycznym widzem — uczestnikiem, któremu się wszystko podobało. Kamerzysta Napek ze zgrzytem objeżdżał na wózku rynek, filmując co się dało i jak należało, Dom Architekta obwieszały winogrona głów, przemęczonych całotygodniowym wrzaskiem prób, przeklinających urlop bez wypoczynku, teraz autentycznie zaciekawionych i dumnych z zajmowanego stanowiska; w wymyślnych kojcach czubiły się koguty, w świńskich zagrodach świńsko zachowywały się warchlaki i było w tym zgiełkliwym wieczorze coś z uroków średniowiecza zgodnie koegzystującego z cywilizacją i techniką.

Kiedy ostatni błysk reflektora przesunął się po trzykrzyskiej górze, oświetlił attykę kamieniczek Mikołajowej i Krzysztofowej, zadrżał na dzwonnicy i obnażył piękno gotyckiej pary, przemknął po mansardach z brodatymi nastolatkami i zgasł — powiało smutkiem. Zaczynała się bowiem cicha kazimierska noc, z zaułków nad Grodarzem wyłaziły mity pod rękę z legendami, pociemniał szlak do Bochotnicy z zamkiem w kompletnej ruinie, szlak, którym przed wiekami pomykał z lichtarzem w ręku zakochany król Kazimierz zwany Wielkim do Esterki o przepastnych oczach tam osiadłej, na rogu rynku, gdzie dziś zrobili letni salon plenerowych prac warszawscy malarze z niepokojem myśli się, co też uczyniła piękna modelka z lat trzydziestych — Szajndla, zakochana w mistrzu ją malującym, cierpiąca przez niego, a później z rozpaczy rzucona w ramiona starego jubilera z Lublina, w farze drzemią zdobyczne na Turkach kurdybany, ofiarowane hojną ręką Sobieskiego, trzykrzyska góra niczym groźne memento przypomina o dżumie sprzed trzech wieków, a z renesansowego szpitalika Anny Jagiellonki, który stoi o wielkość człowieka niżej od poziomu ulicy i coraz wyraźniej się zapada mimo transformacji na dom kultury płynie chropawa melodia gitar o ładnych oczach i łabędziu na stawie.

W dawnej knajpie u Berensa, dziś u Esterki — w tych nazwach nastąpiło największe przemieszanie czasów — tańczą piękne dziewczyny w papuziokolorowych szmatkach, cichy dom prasy obraża swoją nowoczesnością księżyc, toteż ów niełaskawie go mija, by posrebrzyć blaskiem modrzewiowe klepki i kamienną pergolę w willi Marii Kuncewiczowej. Myślę, że czyni to z wdzięczności za opowiadania kazimierskie z nim w tytule, za owe „Dwa Księżyce", w których folklor miesza się ze wspomnieniami świecąc w szybach domu pisarki, zapala nowe.

Nad świtem w pobliskim kamieniołomie goreje czerwienią berberys, wtedy lato się kończy i księżyc oszołomiony jego pięknem topi się w Wiśle.

KRYSTYNA ŚWIERCZEWSKA

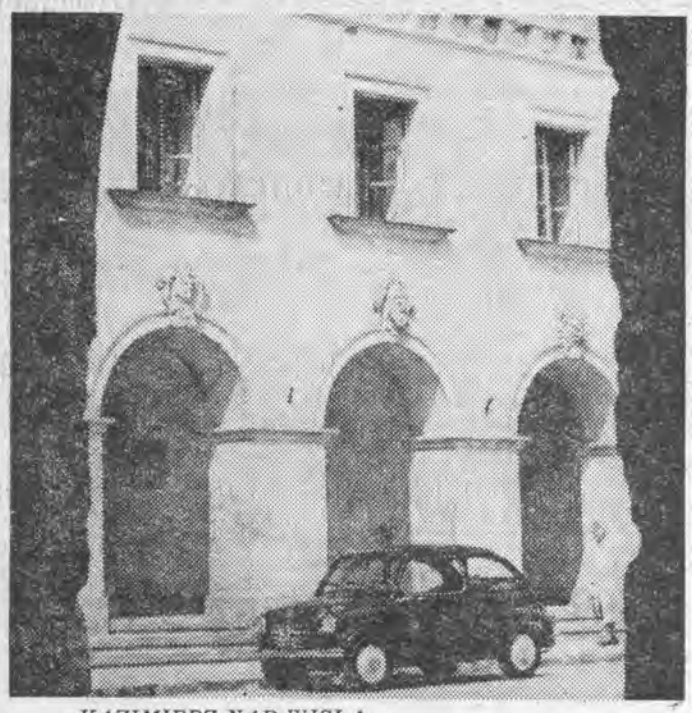

KAZIMIERZ NAD WISŁĄ

„KANTO"

je robotnikom nie biorącym przez okres kilku lat udziału w strajkach premie w postaci domków jednorodzinnych — bez posiadania prawa własności. Tak usiłuje się rozbić jedność klasy robotniczej.

In vino veritas: wzajemnym życzeniom i toastom nie ma końca. Śpiewamy razem „Międzynarodówkę".

ŻYWE MUZEA

Zastanawiam się, czym różnią się we Włoszech muzea (przeważnie pokrólewskie i poksiążęce zamki) od kościołów. W jednych i drugich zgromadzone są zbiory z różnych dziedzin kultury i sztuki. Przede wszystkim cieszą oczy arcydzieła: Giotta, Rafaela, Michała Anioła, Leonarda da Vinci i innych.

Ich oddziaływanie estetyczne straciło już charakter klasowy. Są wielką sztuką — własnością narodu.

Turystów w muzeach i kościołach dużo.

13 czerwca — Boże Ciało. Zwiedzam we Florencji kościół Świętego Krzyża, w którym znajduje się grobowiec Rossiniego i Michała Anioła oraz sarkofag Dantego.

Wszedłem również do katedry pod wezwaniem Marii Florenckiej.

W katedrze, która może pomieścić około 50 tysięcy osób, odbywa się uroczysta msza zwana missa cantare. Brało w niej udział około 160 wiernych. Nie widziałem procesji.

Tylko Polska nadal semper fideis!

Przenieśmy się do Rzymu — do bazyliki Świętego Piotra, zwanej fabryką jego imienia. Po prawej stronie portalu można wypożyczyć za 900 lirów mini-magnetofon służący za przewodnika. Taki przewodnik operuje pięcioma językami, a mianowicie: angielskim, francuskim, niemieckim, hiszpańskim i włoskim.

A gdzie język „przedmurza chrześcijaństwa"?

Pius XII, którego pomnik — wykonany z brązu — znajduje się w prawej nawie, patrzy na mnie pytająco, czego świadkiem jest Marysieńka Sobieska. Portret jej — pędzla Jana Matejki — umieszczono wis a wis, to znaczy w lewej nawie. Ale co tu robi Marysieńka... święta? Boy — Żeleński nie wystawiłby jej takich referencji. Czy nie bardziej zasłużył sobie na to miejsce jej małżonek? Wprawdzie w Muzeum Watykańskim pod numerem ewidencyjnym 2613 wyeksponowano obraz „Sobieski pod Wiedniem". Zaszczyt nie lada. Dlaczego jednak tu Marysieńka a nie Sobieski?

Integralną część bazyliki stanowią sklepy, gdzie ekspedientki — siostry zakonne sprzedają sakralne suweniry. Dolar równa się tutaj 620 lirom. Trzeba być naprawdę fanatykiem, żeby za małą statuę stanowiącą popiersie dostojnika kościoła zapłacić 2 200 lirów albo 3 500 lirów za talerz porcelanowy z jego wizerunkiem.

Chcąc nie chcąc przypominam sobie ewangelię wg Świętego Mateusza: „I wszedł Jezus do kościoła bożego i wyrzucił wszystkie przedające i kupujące w kościele, a stoły bankierów i stoliki przedające gołębie poprzewracał. I rzekł im. Napisane jest: dom mój domem modlitwy nazwan będzie".

Okazyjnie, bo bez posiadania obowiązującej wizy wjazdowej, znalazłem się w państwie watykańskim, na które składają się: obszar liczący 44 ha i 2 000 mieszkańców — w tym osoby duchowne i świeckie. Jest bank — strzeżony przez wojsko i policję, poczta, kilka sklepów, gdzie ze sprzedaży talonowej korzystać mogą wyłącznie obywatele Watykanu. Innymi słowy mówiąc, dzień jak co dzień — podobnie jak w innych państwach, tylko tu nieco odmienne ambicje.

Produkowane ze sztucznej mozaiki obrazy o różnej tematyce wysyłane są stąd na eksport. Cena jednego obrazu o formacie 60×40 cm jest rzędu miesięcznego wynagrodzenia inżyniera.

Wrzucam do automatu, stanowiącego ostatni krzyk techniki, 100 lirów — otrzymuję gorącą kawę i 50 lirów z powrotem. Aparat ten — to nie lada atrakcja.

Pijąc kawę sięgam pamięcią w mroki średniowiecza.

BAZARY

Pecunia non olet. Tę sentencję a raczej predyspozycje idące w kierunku właściwej eksploatacji tego życiowego credo odziedziczyli po starożytnych Rzymianach przede wszystkim Włosi. Predyspozycje te podsyca, oczywiście, ciągły brak stabilizacji ekonomicznej, a więc życiowej.

W państwie tym panuje nieustająca pogoń za pieniądzem. Służą temu celowi samochody, gondole, Forum Romanum, Katakumby, Koloseum, grób Romea i Julii, każdy skrawek autostrady, placyk, każde miejsce na tej ziemi — pokryte i nie pokryte patyną czasu, dosłownie wszystko.

Bazary są miejscami największych imprez pod znakiem Merkurego, a forma sprzedaży drużgoce nasze wyobrażenie o technice reklamy i handlu.

Jest to wręcz urzekająca, a zarazem żenująca inwokacja do pieniądza. Polega ona na podrzucaniu w górę poszczególnych artykułów, takich jak ryby, sweterki, buty itp., czemu towarzyszy bardzo głośne nawoływanie — nawet podczas załatwiania wymarzonego klienta. Specjalnością właściciela straganu jest narzucanie klientowi trzykrotnie wyższych cen w stosunku do wartości artykułów. Teraz rozpoczyna się namiętne targowanie. Kupiec na początku jest na przemian: kokieteryjny i nachalny, a z kolei — kiedy klient zbyt uparcie zbija cenę — potrafi być nawet niegrzeczny i ordynarny.

Bazary znajdują się w najmniej ekskluzywnych dzielnicach miast, dlatego są tu najtańsze towary — o wiele tańsze niż w sklepach położonych w dzielnicach centralnych. Dla przykładu: męska koszula „polo" kosztuje na bazarze 1000 lirów — za tę samą koszulę trzeba zapłacić w domu towarowym kilka tysięcy lirów.

Na zakończenie — wszystkich mających zamiar wybrać się do — nie zawsze kolorowej i słonecznej — Italii informuję, że „ile kosztuje" znaczy po włosku quanto costa.

P.S.

Nie twierdzę, że Włoszki posiadają więcej uroku niż Polki — przecież wróciłem już do kraju.

Ryszard Bilski

DWA OBLICZA MIASTA

Salon pana Bogusława mieści się na I piętrze. Wchodzi się tam po niezbyt wygodnych i czystych schodach. Często urządzają na nich libacje pijacy wyrzuceni z pobliskiej gospody. To sąsiedztwo jest powodem wielu zmartwień pana Bogusława, bo jak mówi i najczulszy film i najlepszy papier nie wyprostują wykrzywionej pijackiej gęby, która każe się „przy okazji" fotografować — „Jak już jestem tu blisko niech mi pan ciachnie zdjęcie do legitymacji".

Fotograf jest zdziwiony moją wizytą. Nawet nieco zakłopotany. Przeprasza za bałagan. Zbierając w pośpiechu główki z dobrze widocznym lewym uchem — mówi — że są nieudane, bo to chłopak kopiował. Trzeba jeszcze raz zrobić, firma zobowiązuje przecież do solidności.

Rozglądam się po salonie. Urządzony jest bardzo skromnie. Brak nawet tak niezbędnej w tym zawodzie kamery na klisze. Wszystkie zdjęcia, nawet i ślubne, wykonuje p. Bogusław „Practisixem" ze zmodernizowanym — we własnym zakresie — obiektywem.

Mimo woli przypomniał mi się jego kolega z niewiele większego od Radomyśla i również przeszło 400 lat liczącego Sokołowa. Często odwiedzałem sokołowskiego fotografa. Był kopalnią tematów, zawsze pełen zaskakujących, śmiałych, nieraz nawet zbyt śmiałych pomysłów. Kochał jak mało kto swój Sokołów. Nie szczędził zarobionych z trudem pieniędzy na remont kina, wzbogacał zdjęciami kronikę miasta.

Dlatego właśnie pierwsze kroki w Radomyślu skierowałem do salonu fotograficznego. Siedząc tak jeszcze przez chwilę naprzeciw białego ekranu wśród reflektorów umieszczonych na antycznych podstawach doszedłem do wniosku, że gdyby nie pan Bogusław pewnie bym się dłużej w tym mieście nie zatrzymał, no bo cóż warte by było ono bez fotografa? Gdyby tak jeszcze pół czarnej w kawiarni z zawsze nieświeżymi ciastkami, film w starym, ponurym kinie z głośno terkoczącym aparatem. Cóż może być lepszego dla reportera, bardziej wymarzonego? Dziś niestety X Muza w Radomyślu odpoczywa. Jutro proszę bardzo — „Sami na wyspie", za 2 dni „Olbrzym", a później ciurkiem wszystkie serie „Czterech pancernych".

Głośno było do niedawna o Radomyślu... Rozsławił go zdobyciem srebrnego lauru chór, którym dyrygował p. Bogusław.

— Tak, to smutna prawda, chór się rozleciał. Poszło o nagrody. Zarząd zespołu postanowił, że indywidualne pieniężne wyróżnienia przeznaczone być powinny na ogólne konto chóru. Nikt się jednak nie kwapił, by przekazać nagrodę do wspólnej kasy. Zaczęły się plotki, kłótnie.

Ostatni i to nieudany występ odbył się w Dulczy Wielkiej, bodajże podczas uroczystości otwarcia szkoły. Co za pech — ostatni i nieudany. Smutny był więc finał usłanej sukcesami drogi. Wcześniej... ileż to razy domagano się bisów, zapraszano na ponowny występ, przysyłano po zespół samochody byle tylko zgodził się uświetnić przecięcie wstęgi, wypełnić część artystyczną akademii.

— Dawałem z siebie wszystkie siły, nie powiem, szło nawet dobrze. 20 lat temu ukończyłem w Łodzi kurs dla dyrygentów chórów i to z wynikiem bardzo dobrym.

Mówi te słowa jakby na przekór żonie, która wyśmiewa się z muzycznego talentu męża fotografa — „jaki on tam dyrygent, wcale nie uczony tylko po kilkumiesięcznym kursie".

— Może syn będzie kiedyś fachowcem — dodaje na usprawiedliwienie ojciec.

— Srebrny laur, o którym pan już wie, to nie tylko moja zasługa. Mieliśmy bardzo dobrych śpiewaków. Wspomnę chociażby Józefa Pachoła — doskonałego basa.

Zabrakło też podpory kapeli (która występowała razem z chórem) — kontrabasisty i kornecisty w jednej osobie — Andrzeja Wacławskiego.

Niech pan z nimi porozmawia, dlaczego odeszli z zespołu.

Sklep PSS z artykułami gospodarstwa domowego był już zamknięty. Sprzedwcy, a zarazem niezrównanego w Radomyślu basa, J. Pachoła nie spotkałem. Nie zastałem także i polecanych gorąco sopranów.

Był w domu jedynie Andrzej Wacławski. Wprawdzie dopiero co wrócił z pracy, na później odłożył jednak mycie i obiado-kolację kiedy usłyszał, że chodzi o chór.

— Za Wysockiego zespół był na poziomie — mówi. — Chłop miał smykałkę do śpiewu. Prawie na każdej próbie uczyliśmy się nowej piosenki. Mieliśmy bogaty repertuar. Niestety, wszystko poszło na marne przez te nieszczęsne nagrody. Nie tylko. Zazdroszczono i mnie i Wysockiemu, że otrzymaliśmy kilka razy pieniężne wyróżnienia z Wydziału Kultury z Mielca. Ja te pieniądze traktowałem jako pewną formę rekompensaty za wyremontowany z własnych środków kontrabas. Wysockiemu się należało — jak siedział na próbie albo rozpisywał partytury — nie robił zdjęć, a rodzinę ma przecież liczną.

Pan Bogusław jest rozżalony, często swe troski zatapia w kieliszku, z chórem skończył chyba na zawsze, inni być może wrócą do zespołu. Wacławski nie czeka na, być może, powakacyjne reaktywowanie chóru, dojeżdża aż do Niedomic — 50 km w jedną stronę i gra na kornecie w tamtejszej kapeli. Występuje także w jednym z mieleckich zespołów. Kiedyś chcąc zawstydzić skłóconych chórzystów z Radomyśla sprowadził niedomickich śpiewaków i tancerzy. Odbył się wspaniały koncert, lecz i to nic nie pomogło.

Przewodniczącego Prez. MRN Władysława Jędrusiaka śpiew nie interesuje. Nie można mu mieć tego za złe. Ma na głowie wiele innych kłopotów i spraw. Ważniejszych!

Spotkałem go na budowie nowej drogi. Był już wieczór, a robotnicy nadal wylewali gorący asfalt. Droga prowadzi na razie do nikąd. Biegnie w kierunku placu, na którym dopiero w przyszłym roku rozpocznie się budowę filii mieleckiej Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego. Nietypowy ale wart naśladowania przykład — zaczynać trzeba od drogi. Budują ją radomyślanie w czynie społecznym, nie szczędzą wysiłku tak jak nie żałowali pól na jej poszerzenie.

— Filia WSK to nasza nadzieja i szansa, znajdzie w niej zatrudnienie 500 osób. Będą pracować i zarabiać. Do Radomyśla wpłynie więcej pieniędzy, miasto zacznie rozwijać się i to na pewno szybciej, niż do tej pory — mówi przewodniczący. Wiele osób wycofało już swoje wkłady z Mieleckiej Spółdzielni Mieszkaniowej, mają zamiar budować się w Radomyślu.

Idziemy obok rozgrzanego i miękkiego jeszcze asfaltu. Bucha przyjemne ciepło. Mijamy kino — jak zapewnia przewodniczący — urządzone na wskroś nowocześnie... Kiedyś mieściła się tu szkoła, od 3 lat dzieci uczą się w nowym budynku. Przewodniczący chce jak najwięcej sprzedać. Chwali się magazynami i zapleczem Gminnej Spółdzielni, garażami Kółka Rolniczego i wznoszoną filią POM.

Najbardziej cieszy wszystkich jednak ta wymarzona WSK i nowa droga. Dróg przybyło w mieście więcej. Szeroki asfaltowy zajazd przygotowano dla PKS-u. Nie zapomniano i o poczekalni. Za te PKS-owskie inwestycje dostało się Jędrusiakowi. Kiedy zaczął budować, na słupach pojawiły się kartki ze szkalującą go treścią. Za co ta nagonka — pytał samego siebie i przyjaciół — przecież realizuję postulat zgłaszany kilkakrotnie przez mieszkańców.

Był pewny, że robi dobrze. Nie zląkł się gadania i pisania „made in plebania". Przecież nie było innego wyjścia. Droga musiała zahaczyć o wrzynające się w centrum miasteczka „włości" plebańskie.

Ułożył także chodnik, zasypał żwirem wiecznie cuchnące kałuże. Widząc te zmiany zadbali o porządek również i właściciele znajdujących się po sąsiedzku posesji. Pojawiły się nowe szalunki i tynki.

Obok wyremontowanej, lecz jeszcze nie oddanej do użytku poczekalni PKS mieści się klub „Rolnika". Nieźle pomyślane. Takie sąsiedztwo przynieść może wiele korzyści, o ile oczywiście gospodarze klubu dopasują program działania do rozkładu jazdy autobusów i zainteresowań podróżnych, którzy na pewno będą przychodzić tu latem na oranżadkę, a zimą na herbatę.

Kierowniczka klubu otworzyła szeroko okna, ten przeklęty zaduch, chyba z wilgoci, podobno żeby nie wiem jak wietrzyć ciągle czuć piwnicą.

Z kinem był niewypał, kawa mimo zawilgoconych ścian klubu też dobra, gdzie u licha szukać tych charakterystycznych rekwizytów małego miasteczka. Chyba nie znajdę. Za mało mówi się już bowiem w Radomyślu o reprezentacyjnym mieszanym chórze miejskim, a za dużo o przyszłej wielkiej inwestycji.

Za dużo? Zmienia się przecież oblicze miasta, zmieniają się zainteresowania jego mieszkańców. Na cóż im teraz godności, zaszczyty i srebrny laur za ładny, czysty i harmonijny śpiew. Inaczej zabiega się dziś o sławę, inna jest jej miara.

(Ciąg dalszy ze str. 3)

Ta sytuacja nie powinna jednak usprawiedliwiać małego zróżnicowania w tematyce filmów, dowolności w układaniu terminarza, w którym nie tylko nie wystarczający jest zestaw filmów atrakcyjnych, ale zdarzają się powtórki starych, zniszczonych kopii, urągających instytucji „współczesnego kina". Oglądając projekcję znanej i cieszącej się powodzeniem polskiej komedii „Sami swoi" w jednej z bieszczadzkich wiosek zastanawiałam się i podziwiałam cierpliwość widza. Po seansie na moją uwagę o zniszczeniu kopii, usłyszałam, że trafiłam raczej dobrze. — Obraz nie jest zły, gorsze się oglądało — powiedział jeden z rozmówców. Wkrótce potem dodał, że dźwięk, akustyka są jednak kompromitujące, jak na osiągnięcia techniczne drugiej połowy XX wieku. Ciągle daje się to odczuć

KINO BEZ WIDZA?

przy oglądaniu polskich filmów, a już specjalnie przy oglądaniu takich filmów, jak „Sami swoi" — który niesie duży ładunek humoru i komizmu właśnie w sytuacjach dialogowych — słyszanych często jako nieartykułowany bełkot.

A jednak popularność kina objazdowego nie maleje. Fakt ten uzasadnia przede wszystkim to, iż dla wielu jeszcze wiosek naszego województwa przyjazd raz w miesiącu kina, jest odnotowywany przez społeczeństwo jako „kulturalne objawienie". Tak jest w miejscowościach bieszczadzkich (w niektórych brak odbioru telewizyjnego) i wszystkich tych, które zbyt oddalone są od większych ośrodków, miast. I wydaje się, że między innymi dlatego należałoby zwrócić baczniejszą uwagę na zapotrzebowanie społeczne, dbać o urozmaicenie repertuarowe, stan techniczny kopii i wreszcie rozwiązać problem przygotowania przez władze terenowe pomieszczeń dla potrzeb godziwej projekcji.

4.

Zewnętrzne objawy „upadku" kina, zmniejszenie zainteresowania sztuką filmową, powinny być przyjęte przez kompetentne instytucje jako sygnał ostrzegawczy, iż wymagania widzów wyprzedzają już to, co proponuje im u nas ta forma oddziaływania kulturalnego. Widz coraz częściej rezygnuje z kina na korzyść nie lepszego programu telewizyjnego, chociaż zgadza się z opinią, iż szklany ekran nie zastąpi ekranu kinowego. Do kina wybiera się wtedy, kiedy ma gwarancję oglądnięcia atrakcyjnego, okrzyczanego przez reklamę i recenzję filmu. Wysoka cena biletu daje dodatkową pewność wartości, chociaż budzi refleksję jak często można pozwolić na banalną już rozrywkę w kinie?

W tej sytuacji ciekawym eksperymentem okazała się prowadzona przez WZK przy współudziale FJN, TPPR, ZBoWiD, czasem radia i prasy akcja „imprez towarzyszących" seansom filmowym. Taką inicjatywą było np. w ubiegłym roku spotkanie z majorem Gryczmanem (uczestnikiem obrony Westerplatte) przed projekcją filmu „Westerplatte", spotkanie z przedstawicielami wojska, aktorami, reżyserami. Wiadomo, że tego typu imprezy nabierają szczególnego rozmachu, cieszą się ogromną popularnością — ale nie mogą być atrakcjami cyklicznymi i stałymi. Warto je od czasu do czasu przygotowywać — są one swego rodzaju novum w naszym kinie, co na pewno przyczyni się m. in. do odzyskania utraconego widza.

* * *

Z wielu przeprowadzonych rozmów, opinii i obserwacji wynika, że sytuacja współczesnego kina jako ośrodka kultury nie jest najlepsza. W konfliktach między bezpośrednimi partnerami: WZK, CWF i radami narodowymi zagubiła się troska o widza, zapomniano o kinie jako nie tylko centrum kulturalno-rozrywkowym, ale środku masowego oddziaływania ideowo-politycznego. Dlatego, jak mówią „tezy przedjazdowe", należy zwiększyć wymagania wobec kina zarówno w zakresie polityki repertuarowej, jak również pod względem modernizacji pomieszczeń i dostosowania ich do nowoczesnych wymagań techniki filmowej — słowem, trzeba stworzyć sprzyjające warunki dla aktywnego uczestnictwa społeczeństwa w kulturze.

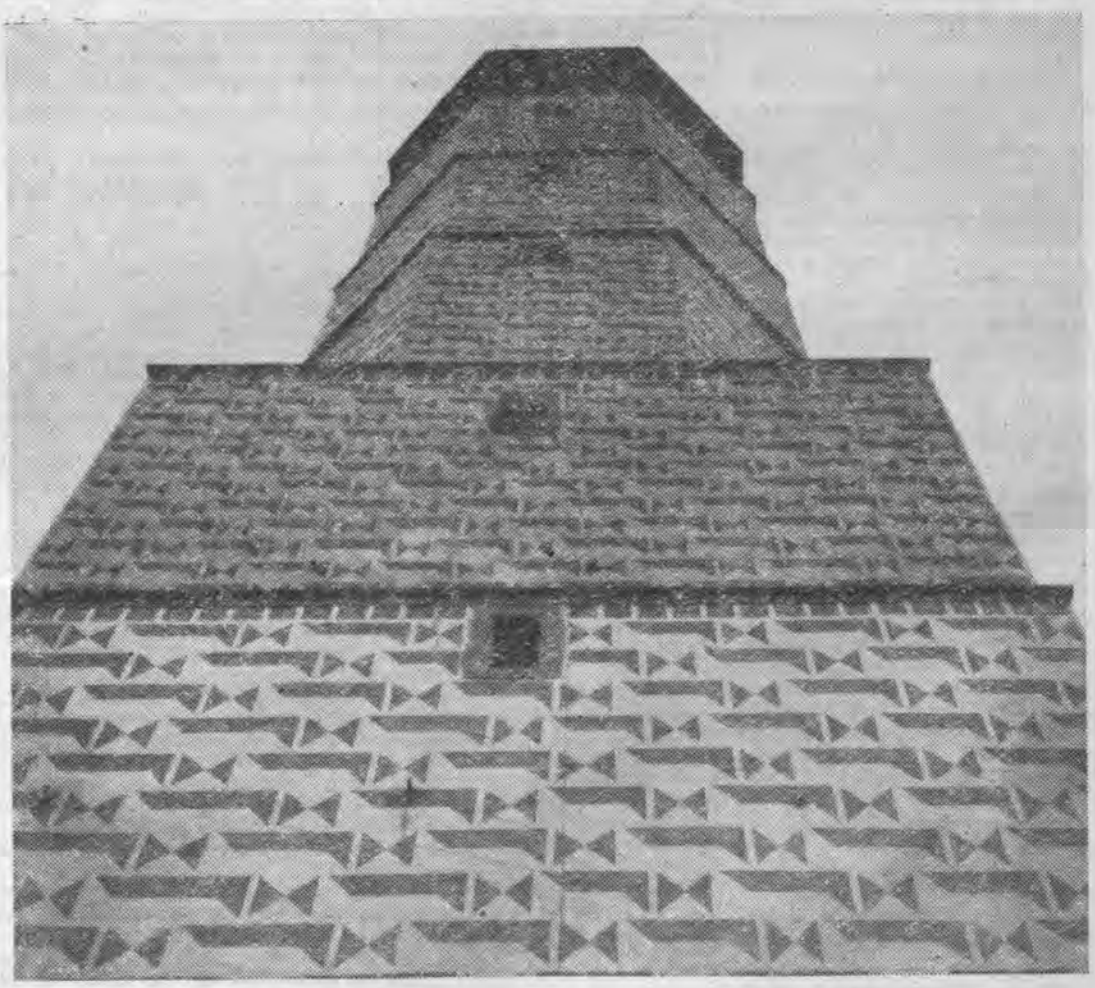

BIECZ — WIEŻA RATUSZOWA *Fot. M. KOPEC*

Legenda, czy prawda o starym Przeworsku

Granice starego Przeworska wyznaczają resztki murów obronnych z początku XVI w. Na krańcach średniowiecznego miasta; od strony wschodniej z dobrze zachowanymi murami obronnymi usadowił się klasztor OO Bernardynów. Na cyplu zachodnim wzgórza stanął klasztor Miechowitów zwanych Bożogrobcami. Miasto uplasowało się na wzgórzu wydłużonym 900 m w części wschodniej, prawie w połowie stanął ratusz, zamykający od zachodniej strony wraz z kościółkiem pod wezwaniem św. Katarzyny rynek mały. Otoczenie małego rynku rozbudowano w miejscu nie istniejącego podgrodzia, które nosiło nazwę Przeworsku wzgl. w okresie początków chrześcijaństwa Przeorsko z kościółkiem na małym rynku. Zapadły mi w pamięci pewne szczegóły, które obecnie na pewno zainteresowałyby archeologów; np. w pobliżu fundamentów synagogi zburzonej przez hitlerowców w 1939 r. przy okazji wybierania cegły oraz zakładania fundamentów dostrzegliśmy z mgr Fr. Młynkiem fragmenty obronnej palisady, pale tkwiły w gruncie litym, a w stronę jezdni, prowadzącej do Bramy Jarosławskiej od strony północnej małego rynku znajdowało się gruzowisko, wypełniające na pewno dawny rów obronny. W miejscu spalonego „Chederu", jak też zabudowań już poza rowem natknięto się na piwnice, „lochy nieobmurowane i obmurowane nawet do kilku kondygnacji w głąb. Domek rabinacki (Steinów) stał na takim podpiwniczeniu — był drewniany, bo murowanego nie odważono się tam stawiać — był to przed 1939 rokiem domek zegarmistrza. Przy zakładaniu fundamentów budynków ob. Michasia, Spółdzielni Inwalidów jak też narożnego domu, w którym znajdował się lokal zwany „Sielanka", trzeba było zakładać płyty betonowe, specjalne podpory, by można było wybudować w miejsce drewnianych domy murowane. Z krótkiego przedstawienia widać, że jedynie budynek okazałej barokowej Bożnicy stał na celcie, to samo dotyczy innych budynków sakralnej i starej apteki. Przy robieniu sondażu archeologicznego przez mgr Kunysza u wylotu dawnej ulicy Englarda napotykano aż do murów obronnych, do istniejącego jeszcze fragmentu murów (w których znaleziono cegły z napisami rytymi w języku hebrajskim). Przekop głęboki ponad 8 m wykonany wtedy wykazywał też gruzowiska. Pod całą prawie pierzeją północną obecnie z niskimi zabudowaniami były lochy i piwnice. Niektóre o sklepieniach beczkowatych, były też sklepienia palmetowe. Po spaleniu się tej części miasta w roku 1931 przystąpiono do zabudowy — przy tej okazji mogłem wykorzystać fachowe wiadomości ojca i zobaczyć wiele tych piwnic i lochów. Penetracje dały pewne rezultaty numizmatyczne, ale też dały możność poznania podziemnego Przeworska — można już tu zaznaczyć, że ten podziemny, ukryty przed nieprzyjacielem Przeworsk był wcale duży — miasto posiadało prawo składów i prawo wystawiania towarów — miało też prawo składowisk win. Piwnice te nie były łatwe do odnalezienia, miały tajemne połączenia pod wszystkimi pierzejami, były też dojścia do murów obronnych z wylotami, np. od strony południowej do dziś widocznymi w resztkach murów biegnących do Bramy Węgierskiej (Kańczudzkiej), której fragment rozebrano w roku 1968 u wbiegu na ulicę Kąty. Baszty obronne miały połączenia — nie tylko poprzez miasto, tj. oba rynki, ale prowadziły korytarze do obu klasztorów obronnych, co dało się spostrzec przy wznoszeniu budynku Dziewiarskiego przy ulicy Bernardyńskiej i budynku rejenta Stepkiewicza, oraz zapadlisk na ulicy Bernardyńskiej ku ul. Wałowej. Na szczególną uwagę zasługują lochy i piwnice przy pierzei lewej od ratusza z biegiem drogi przecinającej miasto, ostatnio w końcu czerwca i na początku lipca 1968 roku tam powstały zapadliska. Można by się zapytać, czy nie wiedziano o istnieniu tych lochów. Na pewno tak, czego dowodem był łukowaty przebieg drogi od sądu (budynek renesansowy mieszczący niegdyś sądy ziemskie) rozebrany w czasach hitlerowskich, droga przez rynek biegła łukiem ku ratuszowi, tym tłumaczy się też rozsadzenie drzew w linii łuku ku rynkowi. Korekta drogi wspomnianej poczyniona już w czasach Polski Ludowej nie liczyła się z obecnością tych lochów tuż pod niezbyt grubą nawierzchnią pod asfaltem, gdyby nie wycieki z rur wodnych, a także przenikanie wody z sąsiedztwa różnych piwnic, to — jakiś czas mogłaby się ta droga utrzymać. Jeszcze jedno pytanie można by postawić, jak roko i głęboko rozłożone są te lochy, nasypowiska, piwnice? Przeworsk niejako wyrósł nad dawne uplasowanie — podniosły się i to znacznie drogi, chodniki, pod powierzchnią znajdują się jeszcze niezbadane lochy, piwnice, a nade wszystko nasypy. Dość wspomnieć, że archeolog spotkać może narastanie różnych kultur aż do neolitu — pozostałości w postaci sadyb, cmentarzysk, ceramiki itd. Nie możemy nie widzieć rozwoju miasta. Przeworsk zmienia oblicze, wychodzi dziś daleko poza obszar dawnego grodu nawet tzw. Bud Przeworskich i Przedmieść, zagarnia tereny przyległe. Centrum jeszcze świeci pustkami architektonicznymi. Cokolwiek byśmy powiedzieli; starówka wymaga opracowań i to wszechstronnych — tym bardziej że modernizacja, higienizacja, estetyka wymaga przeprowadzenia zasadniczych uzbrojeń terenu, pewnych konserwacji, może i adaptacji. Prace tego typu muszą mieścić się w planie urbanistycznym miasta. Trzeba się zastanowić nad tym co z zabytków ma być zachowane dla potomności, a co ma być zastąpione nowym budownictwem i jak to budownictwo ma wyglądać, by nie powstało miasto dziwoląg. Tym razem podałem parę uwag na temat, który nęka wiele miasteczek i miast starych.

HENRYK JANKOWSKI

WIDOK Z BIECZA *Fot. M. KOPEĆ*

Nerwica szkolna

(Ciąg dalszy ze str. 3)

człowiek żyje oraz mocne urazy psychiczne, działające szkodliwie na układ nerwowy. Rola szkoły w powstawaniu objawów nerwicowych jest tak wielka, że w psychiatrii i psychologii klinicznej, a nawet w języku potocznym mówi się o n e r w i c y s z k o l n e j. Objawy tej nerwicy polegają na tym, że dzieci przed pójściem do szkoły są ogarnięte niepokojem, lękiem, śpieszą się, nie jedzą śniadania, a jeśli rodzice zmuszają je do spożycia posiłku, zwracają je. W szkole są napięte, zdenerwowane, po przyjściu do domu skarżą się na ból głowy, na zmęczenie. Lekcje odrabiają niechętnie, długo, rozwlekają je do późnych godzin nocnych. Są apatyczne, osowiałe, źle sypiają. Wszystkie te objawy znikają w okresie wakacji. Aby dzieci z pogranicza niedorozwoju i ociężałe pod względem umysłowym dobrze się czuły w normalnej szkole i nie popadały w stany nerwicowe, Wydział Oświaty w Gorlicach zamierza od nowego roku szkolnego powołać klasy specjalne, w których dzieci te otoczy się szczególnie troskliwą opieką dydaktyczną i wychowawczą. Oprócz tego niektóre z tych dzieci muszą być leczone i pozostawać pod stałą opieką psychologa i neurologa. Oto przykład:

Uczeń W. K. lat 10. Po przeprowadzeniu badań psychologicznych stwierdzono u chłopca granicę niedorozwoju umysłowego — iloraz inteligencji = 76. Chłopiec w br. od marca przez trzy miesiące przebywał w szpitalu. W wypadku drogowym stracił na kilka dni przytomność. Miał wstrząs mózgu w wyniku uderzenia i załamania czaszki. Przechodził zapalenie opon mózgowych. Wszystko to wywarło niewątpliwie wpływ na funkcje psychiczne chłopca. Jest impulsywny i małokrytyczny, czasem popada w stan osłupienia (wtedy nie wie, co się do niego mówi). Ma trudności w zapamiętywaniu i skupieniu uwagi. Od chwili opuszczenia szpitala sprawia trudności wychowawcze. Miał sprawę w sądzie dla nieletnich o kradzież pieniędzy z kiosku.

Zdaniem psychologa, chłopiec ten wymaga leczenia i szczególnie troskliwej opieki. Lekarz neurolog potwierdził tę opinię. W tym miejscu jest okazja do podkreślenia dobrej współpracy Poradni Neurologicznej w Gorlicach (kierowanej przez p. dr Elżbietę Bajor) z Poradnią Wychowawczo-Zawodową. Okazuje się bowiem, że lekarz neurolog często w badaniach neurologicznych nie stwierdza żadnych zmian patologicznych w układzie nerwowym dziecka, a dziecko sprawia trudności i odbiega od normy, co dopiero mogą wykazać badania psychologiczne. Dlatego bardzo często dzieci z Poradni Neurologicznej kierowane są do badań psychologicznych i dopiero po tym lekarz stosuje właściwe leczenie. W wypadku dzieci ociężałych umysłowo, dobre rezultaty daje stosowanie m. in. kwasu glutaminowego (Ac. glutaminicum), pirapolu i innych. Leczenie tymi preparatami jest długotrwałe i rezultaty może jedynie uchwycić psycholog w badaniach psychologicznych. Z tego to względu współpraca neurologa i psychologa jest w tych przypadkach pożądana.

Na podkreślenie zasługuje jeszcze fakt niewłaściwej atmosfery niektórych rodziców w stosunku do dzieci ociężałych umysłowo. Często bowiem rodzice posądzają swe dzieci o lenistwo i nawet biciem starają się zmusić je do lepszych rezultatów w nauce. Nie trzeba podkreślać, że taki zabieg tylko pogarsza sytuację i potęguje nerwicę. Dlatego w wypadku trudności z dzieckiem, dobrze jest poradzić się psychologa i neurologa, jak z dzieckiem należy postępować. To dobrze, że Kuratorium Okręgu Szkolnego w Rzeszowie dąży, aby takie specjalistyczne placówki, jak Poradnie Wychowawczo - Zawodowe powstały w każdym powiecie. W naszym województwie na uruchomienie takich poradni czekają jeszcze powiaty: sanocki, strzyżowski, ustrzycki, brzozowski, lubaczowski.

MARIAN JANIGA

KSIĄŻKI

Michał Żywiejnow: OPERACJA PW. Teoria i praktyka amerykańskiej wojny psychologicznej. Tłum. Cz. Czarnogórski. MON. s. 362, cena 12 zł.

PW — „Psychological Warfare" — wojna psychologiczna to temat tej interesującej książki. Jest to kompendium wiedzy o teorii i praktyce amerykańskiej wojny psychologicznej. A wojna ta to walka o umysły ludzkie, operacja propagandowa obliczona na zdobycie zwolenników amerykańskiego stylu życia, a potem i polityki USA. M. in. o „Wolnej Europie", „Głosie Ameryki" itp. instrumentach amerykańskiej propagandy. Pomocne w lepszym zrozumieniu tez zjazdowych.

Danuta Brzosko-Mędryk: NIEBO BEZ PTAKÓW. MON. s. 404, cena 25 zł.

Pamiętnik, nawiasem mówiąc doskonale napisany, młodej dziewczyny, więźniarki Majdanka. Różni się nieco od innych szerszym uwzględnieniem spraw kulturalnych w życiu obozowym. I jeszcze coś bardzo ważnego: z pamiętnika przebija optymizm, wiara w człowieka. Czyta się jednym tchem.

Stanisław Goszczurny: ROZBITEK. MON. s. 303, cena 14 zł. „Rozbitek", to książka o morzu i o ludziach morza, zresztą o ludziach, których znałem, i krajach, które widziałem" — pisze autor na skrzydełku. Tom zawiera cztery opowiadania. Najlepsze jest chyba tytułowe.

Stanisław Strumph-Wojtkiewicz: PATROL NA BISKAJU. Wyd. II. Iskry. s. 236, cena 15 zł.

Wszystkie opowiadania, a jest ich w tomie sześć, traktują o morzu i jego ludziach, ale w okresie nieco wcześniejszym niż książka Goszczurnego. Okres II wojny światowej.

Wiktor Ustjancew: OCEAN NIE ŚPI. Przeł. Marta Tywonek. MON, s. 482, cena 25 zł.

Marynarz i dziennikarz zarazem daje nam tom złożony z trzech opowieści. Zaludniają go weseli, prawdziwi marynarze, ludzie, którzy służą ojczyźnie, próbują własnej siły z morskim i ludzkim żywiołem. Interesująca opowieść o morzu.

Józef Narkowicz: POWRÓT NA SOBOTĘ. Wyd. Poznańskie, s. 142, cena 14 zł.

Jest to zbiór reportaży i opowiadań o polskich rybakach i służbie morskiej na brzegu Bałtyku. 12 utworów nierównej jednak jakości.

Stanisława Fleszarowa-Muskat: KOCHANKOWIE RÓŻY WIATRÓW. Powieść radiowa. Wyd. Morskie, s. 312, cena 25 zł.

Czwarte wydanie popularnej powieści radiowej znanej autorki odznaczonej ostatnio nagrodą państwową za całokształt twórczości. Bohaterami książki są marynarze odbywający długi rejs do Japonii oraz ich rodziny pozostające w kraju.

Stanisława Fleszarowa-Muskat: MILIONERZY. Wyd. Morskie, s. 277, cena 20 zł.

Również czwarte wydanie, równie popularnej jak poprzednia powieści radiowej. Znajdziemy w niej początkowe losy bohaterów występujących w „Kochankach róży wiatrów".

Michał Malski, Wacław Cheda: PŁYWAJĄCE LOTNISKA. MON, s. 137, cena 8 zł.

Książka przedstawia niektóre problemy związane z powstaniem, rozwojem i działaniem lotniskowców. Zainteresowany czytelnik znajdzie tu szczegóły budowy i wyposażenia lotniskowca, również obronnego.

Zdzisław Cackowski: GŁÓWNE ZAGADNIENIA I KIERUNKI FILOZOFII. KiW, s. 473, cena 35 zł.

Poprawione i uzupełnione wydanie propedeutycznego opracowania z zakresu filozofii, poszukiwane na rynku księgarskim przede wszystkim przez studentów.

Harry K. Wells: ZMIERZCH PSYCHOANALIZY: Od Freuda do Froma. KiW, s. 330, cena 38 zł.

W niniejszej pracy autor przedstawia dzieje psychoanalizy w Stanach Zjednoczonych, podaje ocenie różne jej formy. Stara się przedstawić jej stanowisko wobec problemu psychiki ludzkiej.

Janusz Górski i in.: EKONOMIA POLITYCZNA. Zarys popularny. KiW, s. 679, cena 35 zł.

Piąte, poprawione wydanie popularnego wykładu podstawowych twierdzeń ekonomii politycznej. Daje on zarys stosunków społeczno-gospodarczych od początków dziejów ludzkości do podstawowego problemu naszej epoki: ekonomicznego współzawodnictwa krajów socjalistycznych i kapitalistycznych.

Harold J. Barnett, Chandler Morse: EKONOMIKA ZASOBÓW NATURALNYCH. Przeł. Czesław Znamierowski. KiW, s. 267, cena 30 zł.

Praca poświęcona jest analizie istotnej sprawy współczesnego rozwoju ekonomicznego świata, a mianowicie szczupłości zasobów naturalnych i właściwemu ich wykorzystaniu.

Kartki dla Ewy

Migrena

Głowa ciężka jak kamień, tętni w skroniach i potylicy, twarz wybladła, żółto-zielona, oczy łzawią — okropność! Migrena nas dopadła podstępnie, wtedy, gdy mamy dużo pracy, mnóstwo ważnych spraw do załatwienia lub szczególnie zależy nam na dobrym wyglądzie. Ta przykra dolegliwość, to nie stara, poczciwa grypa, którą witamy łykając cebion i mocząc nogi w gorącej wodzie. Na grypę można sobie pochorować, dadzą zwolnienie i antybiotyki, poleżymy w łóżku, odpoczniemy uświadamiając wszystkich dookoła, że rozsiewamy chmarę złośliwych wirusów. Na wszelki wypadek dadzą nam spokój. Migrena? Któż by się przejmował bólem głowy! Przecież to dolegliwość histeryczek i hipochondrycznych starych kawalerów. Człowiek, który nie doświadczył łupania w czaszce, zawsze uśmiechnie się z politowaniem.

Chociaż migrena jest chorobą znaną od lat, jej patogeneza do dziś nie jest całkiem wyjaśniona. Naukowcy wysuwają na ten temat szereg hipotez i wskazują na wiele czynników wywołujących ból. Mogą to być zaburzenia krążeniowe, naczynioruchowe, hormonalne, nerwowe. Migrena jest chorobą dziedziczną. Statystycy liczący wszystko, co da się na tym świecie porachować, stwierdzają, że na trzy kobiety, choruje jeden mężczyzna. Czyli nie jest to wyłącznie kobieca specjalność. Zawsze raźniej, gdy się pomyśli, że i wśród mężczyzn trafiają się zmigrenowani nieszczęśnicy.

Niestety, przebieg schorzenia u kobiet jest znacznie cięższy. Towarzyszą mu mdłości, światłowstręt, sensacje żołądkowe, podwyższona temperatura. Bóle głowy najsilniejsze są około trzydziestego roku życia, słabną w miarę starzenia się organizmu.

Każdy z nas ma swój prywatny, dokładnie opracowany system leczenia migreny. Jedni przykładają termofor, inni kostki lodu.

Nasze babcie owijały głowę kompresami, okadzały ją i odczyniały uroki. My pijemy ziółka, czarną kawę, jeden głębszy, zwieszamy głowę z tapczanu, masujemy kark na mokro i na sucho, i łykamy niezliczone ilości pastylek, drażetek, kapsułek. Łyknęlibyśmy nawet litr rycynusu, gdyby tylko pomógł. Tymczasem z proszkami różnie bywa. Niektóre rozszerzają naczynia krwionośne, inne działają na nie skurczowo. Na pewno wszystkie dają efekty uboczne, wcale dla organizmu nieobojętne. To, co pomogło cioci, może zaszkodzić wujkowi, bo wujcio ma nadciśnienie, a ciocia wręcz przeciwnie. Dlatego wszelkie środki farmakologiczne powinniśmy stosować za poradą lekarza. Tym szybsze i skuteczniejsze będzie ich działanie.

Migrena częściej atakuje ludzi w mieście niż na wsi. Lubi nerwicowców, osobników wrażliwych, pobudliwych, łatwo ulegających stressom. Dlatego niezmiernie ważnym czynnikiem w jej leczeniu jest psychoterapia, umiejętność relaksu i unikania niepotrzebnych konfliktów. Konieczny jest ruch na świeżym powietrzu. A kiedy już mamy pecha, dźwięcznie przez lekarzy zwanego „Hipocranią" — ograniczmy za wszelką cenę palenie, unikajmy nadmiaru płynów i soli. Migrena maksymalnie trwa dwie doby i można ją przeżyć.

Medycyna idzie naprzód wielkimi krokami. Dochodzą nas wieści o kuracjach witaminowych, hormonalnych, przebąkuje się o hipnozie i innych rewelacjach. Niewiele, a ród niewieści zostanie uwolniony od nękającej go zmory.

Tylko, co my biedne wtedy zrobimy? Czym wytłumaczymy wszelkie podłe nastroje, gdzie znajdziemy usprawiedliwienie rozmaitych damskich przywar.

Bega

Nowa siedziba 5 mln tomów

Biblioteka Narodowa w Warszawie obchodzi w tym roku 40 rocznicę działalności. Jest ona dziś największą w kraju placówką pracy badawczej nad historią książki, czytelnictwem, bibliografią i bibliotekoznawstwem. W zbiorach jej znajduje się ponad 2 miliony tomów, a każdego roku księgozbiór powiększa się o ok. 40 tys. woluminów.

Książnica Narodowa przechowuje prawdziwe skarby: bezcenne zabytki słowa pisanego i drukowanego. Są wśród nich „Kazania Świętokrzyskie", „Sakramentarz Tymieniecki", „Rozmyślania Przemyskie". W dziale „białych kruków" podziwiać można rękopisy Frycza Modrzewskiego, Mikołaja Reja, liczne zabytki egzotyczne — np. pisane na palmowych liściach XVIII-wieczne „druki" z Birmy i Cejlonu.

Biblioteka Narodowa jest warsztatem pracy dla ponad 550 zatrudnionych w niej osób; można tutaj nie tylko wypożyczyć potrzebną książkę, lecz także uzyskać dokładną i rzetelną informację naukową, pomoc bibliograficzną itp. Zakład Informacji udziela w ciągu roku prawie 30 tys. odpowiedzi na pytania napływające z kraju i zagranicy. Przy bibliotece działa też Instytut Czytelnictwa Prasy i Książki, Biuro Międzynarodowej Wymiany Wydawnictw, Instytut Bibliograficzny. Jak widać, jest to potężnie rozbudowana instytucja badawcza i usługowa.

W perspektywicznym planie rozwoju kultury warszawskiej na czołowym miejscu znalazła się realizacja projektu nowej siedziby dla Biblioteki Narodowej. Powstanie ona na Polu Mokotowskim, po zachodniej stronie Al. Niepodległości. W pięknym parkowym otoczeniu wyrosną gmachy o kubaturze 160 tys. metrów (prawie połowa wielkości Teatru Wielkiego).

Miłośnicy książki otrzymają tam czytelnie ogólne i specjalistyczne o 700 miejscach, zakłady informacji naukowej, muzeum książki, salę odczytową, kawiarnię i bar, parlatorium itd.

Projekt wyłoniony został w drodze konkursu. Jego podstawowym założeniem jest stworzenie naukowego zakładu książkowego, nowoczesnej placówki przechowywania zbiorów oraz udostępniania ich czytelnikowi. W 9-piętrowym magazynie przechowywać będzie można 5 mln tomów; zarezerwowana została spora działka na ewentualną dalszą rozbudowę magazynu. Niższy budynek — czterokondygnacjowy — pomieści Zakład Opracowania Zbiorów, instytuty książki, pracownie mikrofilmów, konserwacji druków, introligatornię. Trzeci gmach przeznaczono na czytelnie, sale wystawowe i odczytowe. Autorem projektu jest inż. arch. Stanisław Fijałkowski. *(Kt-PAP)*

EMIL GRANAT — młody poeta rzeszowski.
Rys. J. SIENKIEWICZ

Korespondencja

Wincenty Pol a Dubiecko

W związku z artykułem A. Żygi „Wincenty Pol w Dubiecku" dodać by należało, że w czasie słynnego zjazdu szlachty ziemi sanockiej i przemyskiej skojarzono w Dubiecku 15 młodych par, a ks. biskup Ignacy Krasicki: „... pragnął przed odjazdem afekt swój wyświecić i względem miłej braci wdzięcznie się polecić".* Wincenty Pol wymienia — ujętą w formę rymów — listę gości:

„A więc pan wojewoda Ossoliński z Liska,
i biskupi przemyscy przy pomocy Bożej,
ba dalej z Baligrodu pan Bal podkomorzy,
i pan Mniszech starosta z pocztem okazałym,
i panowie Stadniccy z swoim dworem całym.
Dalej z Nowotańca Jaworscy, Drochiccy,
z Haczowa Urbańscy, z Leszczawy Humniccy,
zza Otrytu Krajewscy, z Kosiny Prekowie,
a z Dynowa Trzeciescy, i z Hoczwi Fredrowie.
Panowie Giebułtowscy z starych Giebułtowic,
i panowie Kralińscy rodem z Hermanowic.
I panowie Terleccy, starzy Liskowaccy,
od Strwiąża i Chwaniowa — z Olszanic Zawadzcy,
Stojowie i Bogusze, i Gniewosze z Płotych,
Łempiccy i Łepkowscy, Brzeszczańscy z Rybotycz.
Panowie Truskolascy, Górscy, Niesiołowscy,
Kuniccy i Gumowscy, i z Trójcy Tyszkowscy,
i panowie Załęscy, Wisłoccy, Pałkowie,
po kądzieli Herburty, Wapowscy, Stanowie".

Jak widzimy, nie był to tuzinkowy zjazd sąsiedzki, ale niejako sejmik, który ściągnął z rozległego terenu dwóch ziem gości, a szlachta mogła dostąpić niewątpliwego zaszczytu współbiesiadowania ze sławnym już dostojnikiem duchownym i świeckim, Ignacym Krasickim, przed jego wyjazdem na Warmię.

Jacek Joterski

*) Jan Trzecieski — „Pamiętniki i wspomnienia", str. 54.

ZDARZENIA TYGODNIA

„Zespołowe badania terenowe 1968" zorganizowane przez Dział Etnograficzny Muzeum Okręgowego w Rzeszowie, pod kierownictwem doc. F. Kotuli, trwające od 4—19 VIII br. zostały zakończone. Niezależnie od zadań ogólnych, miały one jeszcze cele szczegółowe: chodziło m. in. o ustalenie zasięgu czy granic pewnych zjawisk etnograficznych, jak gwary, stroju, budownictwa drewnianego itp. Badania nad zasięgami strojów prowadziła mgr Teresa Szetela, nad budownictwem drewnianym mgr Krzysztof Ruszel, a nad zjawiskami językowymi mgr Władysław Miodunka z Katedry Językoznawstwa UJ. Magią, demonologią oraz tradycyjnym lecznictwem ludowym zajmowała się Romana Uryniak, pracownica WSP w Rzeszowie. Wyniki badań zostaną opracowane w specjalnych studiach, ew. reportażach.

Badaniami objęto miejscowości: w pow. Rzeszów — Bratkowice, Wólka Podleśna, Chmielnik, Wola Rafałowska, Dylągówka, Futoma, Zabierzów, Nosówka; w pow. Łańcut — Cierpisz Górny i Dolny; w pow. Strzyżów — Jawornik Niebylecki, Żyznów, Pstrągowa; w pow. Ropczyce — Gnojnica i Zagórzyce.

Miejscowości te leżą w czterech regionach etnograficznych, mianowicie: Rzeszowiaków, Podgórzan, Ropczycan i Lasowiaków.

• • •

Prowadzone przez archeologów z Muzeum Ziemi Przemyskiej prace archeologiczne na terenie miasta Przemyśla i powiatu przyniosły w obecnym sezonie nowe wyniki.

W Krasiczynie podczas badań archeologiczno - architektonicznych prowadzonych w części południowej parku, odkryto fundamenty muru przypuszczalnie obronnego wraz z okrągłą basztą. Ostatnio odkrycia pozwalają wysunąć hipotezę, że w XVII w. zamku krasiczyńskiego dodatkowo broniły mury obronne i baszty, które wzniesione zostały w pewnym oddaleniu od zamku. Poza tym natrafiono na materiały z wieków III—IV n.e. i okresu wczesnośredniowiecznego (XI—XIII w.).

W Przemyślu podczas prac ziemnych na osiedlu Przemyskiej Spółdzielni Mieszkaniowej, przy instalacji kanału ogrzewczego natrafiono na 3 piece garncarskie z XI—XIII w. Jeden piec przebadano w całości. Zalicza się on do największych obiektów spośród zbadanych do tej pory 11 pieców.

Przemyscy archeolodzy prowadzą poza tym ratownicze prace archeologiczne w innych punktach miasta przy różnego rodzaju pracach ziemnych. Wyniki tych badań przynoszą nowe materiały do wczesnośredniowiecznej (X—XIII w.) zabudowy Przemyśla, jak też do czasów pełnego średniowiecza XIV—XVII w.).

Kultura na olimpiadzie w Meksyku

W przeddzień oficjalnego otwarcia tegorocznych Igrzysk Olimpijskich w Meksyku, w dniu 11 października, zapłonie znicz olimpijski na placu Księżycowym starożytnego miast ruin, Teotihuacan, najlepiej zachowanych i najstaranniej odnowionych wykopalisk w tym kraju — w odległości 40 kilometrów od stolicy. Rozegra się tam też widowisko wzorowane na pradawnych ceremoniach Azteków, które powtarzano co 52 lata — po raz ostatni odbyły się one w roku 1507. Według wierzeń indiańskich w końcu takiego okresu właśnie miał następować koniec rodzaju ludzkiego, ale rodziło się „nowe Słońce", którego symbolem na igrzyskach ma być znicz olimpijski.

Od takiego akcentu kulturalnego rozpocznie się niezwykle bogata seria imprez kulturalnych przewidzianych na okres olimpiady. Ale już na długo przed jej rozpoczęciem Meksyk stoi pod znakiem ożywionej aktywności kulturalnej.

W czerwcu i lipcu odbywało się kilka wystaw: japońskiej sztuki tradycyjnej, nowoczesnych kierunków grafiki angielskiej, plakatu amerykańskiego od 1880 roku.

Na scenach teatrów stolicy meksykańskiej występował m. in. praski zespół baletowy, filipiński zespół baletowy i balet Marty Graham. Odbywają się występy teatrów angielskich, Ionesco przyjechał z francuskim zespołem teatralnym z repertuarem swoich sztuk.

Na okres trwania igrzysk planowana jest wystawa pn. „Wybrane arcydzieła sztuki światowej" oraz „Festiwal rysunków dziecięcych". Folklor będzie reprezentowany przez ludowe zespoły taneczne oraz przez międzynarodową wystawę rzemiosła artystycznego. Organizuje się ekspozycję „Dzieje igrzysk olimpijskich w sztuce", jak również wystawę naukową o pokojowym zastosowaniu energii atomowej.

Widomą manifestacją kulturalnego aspektu olimpiady jest impreza zainicjowana przez międzynarodowe zrzeszenie rzeźbiarzy. Zwrócono się do 18 rzeźbiarzy z 16 krajów o zaprojektowanie prac plastycznych specjalnie dla olimpiady. Wśród zaproszonych znajdują się trzej artyści meksykańscy, Europę reprezentują plastycy z Austrii, Belgii, Czechosłowacji, Holandii, Polski (Grzegorz Kowalski), Szwajcarii, Węgier, Włoch, ponadto wezmą udział przedstawiciele Japonii, Australii i Maroka.

Rzeźby dłuta tych artystów mają ozdobić „Aleję Przyjaźni" prowadzącą do miasteczka olimpijskiego. Mają to być rzeźby monumentalne — przeciętnie wysokości od 5 do 20 metrów. Autorem pomysłu stworzenia „Alei Przyjaźni" jest przewodniczący olimpijskiego komitetu organizacyjnego, Pedro Ramirez Vazquez, jeden z czołowych architektów Meksyku i twórca gigantycznego „Stadionu azteckiego" w stolicy kraju.

W Rzymie i w Tokio olimpiadom również towarzyszyły imprezy kulturalne, jednak zasięg tegorocznych przedsięwzięć kulturalnych przewyższa poprzednie lata. W Meksyku spotka się w tym roku nie tylko 7 500 najwybitniejszych sportowców z całego świata, lecz również 5 tys. osób związanych z działalnością kulturalną.